CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 21 Listopada 1937 R. NR. 45-46

Oblicze konsolidacji

11 listopada maszerowały zgodnie pod znakiem jednej idei organizacje młodzieżowe, które — polityczne czy apolityczne — nie wyrzekły się w tym marszu własnych sztandarów, własnego oblicza ideowego. Była to manifestacja prawdziwej, rzetelnej i twórczej konsolidacji. Zobaczyliśmy 11 listopada realne oblicze konsolidacji narodu.

Przed rokiem taka wspólna manifestacja młodzieży i armii była nie do zrealizowania. Mówiono wtedy, że to rozbicie ideowe młodzieży jest przeszkodą. Okazuje się jednak, że przeszkodą był raczej brak dostatecznego zrozumienia u pewnych odłamów młodzieżowych potrzeby tego rodzaju manifestacji, skoro dziś, przy nie mniejszym rozbiciu ideowym, manifestacja doszła do skutku. Okazuje się tym samym, że gdy istnieje chęć konsolidacji nie przeszkadzają jej różnice poglądów, choćby nawet i ostre. Rozszerzenie tych obserwacji, jako kryteriów ogólno - społecznych, wydaje się nam całkowicie uzasadnione. Lecz jeśli tak, to dnia 11 listopada ujawnił się fakt, że realizacja konsolidacji nie polega bynajmniej na niwelowaniu dorobku społeczeństwa w zakresie myśli politycznej, lecz na stwarzaniu kompleksów nadrzędnych, zdolnych przyciągnąć w swe ramy nie tylko istniejące zbieżności, ale i rozbieżności.

Listopadowa manifestacja młodzieży stworzyła perspektywę, z której należało by rozpatrywać trwający obecnie kryzys planów i częściowych realizacji konsolidacji społeczeństwa polskiego. Hasło konsolidacji padło w momencie, kiedy znajdowaliśmy się w przejściowej fazie życia politycznego. Anormalny w latach dwudziestych indywidualizm partyjny, zanik poczucia dyscypliny narodowej u wielu leaderów politycznych, wszystko to stworzyło konieczność pewnej kuracji, wyrażającej się w zamknięciu społeczeństwa w pewnych sztywnych ramach politycznych, w dążeniu do narzucenia mu jednolitości. Ten chwilowo potrzebny stan rzeczy nie mógł jednak iść zbyt daleko. Nadmierne jego kontynuowanie spowodowałoby odarcie społeczeństwa polskiego z niezaprzeczalnych wartości, jakie tkwią w bogactwie dopełniających się idei.

Hasło konsolidacji padło w okresie, w którym rozwijał się charakterystyczny proces ewolucyjny, proces „dekompozycji". Hasło to nie mogło chwycić odrazu. Ktoś, kto np. miał przez szereg miesięcy nogę w gipsie, nie może następnego dnia po jego zdjęciu stanąć do marszu. Nie można było wymagać od społeczeństwa, które dopiero zaczęło wychodzić z obręczy sztucznego, skonstruowanego w specjalnym celu schematu, krępującego i przytłumiającego osobowość własną — żeby mogło uczuć w takim momencie potrzebę wplecenia się w inny system, odpowiadający idei konsolidacji narodowej, lecz stawiający nadmierne żądania wyrzeczeń ideowych i programowych. W tym momencie musiała wyładować się uzasadniona chęć zaakcentowania własnej osobowości. Ludzie chcieli raczej utwierdzić się w wierze w swe hasła, w to, że ich własna osobowość ma również rację bytu.

Dające się zauważyć rozgrupowanie społeczeństwa w rozmaite komórki polityczne nie jest więc objawem nienaturalnym, szkodliwym i godnym pożałowania. Jest to naodwrót ustalanie się stanu normalnego, właściwego społeczeństwu demokratycznemu. Z warunkiem jednak, że nie przeżyjemy znów przerostu indywidualizmu partyjnego. Obecny proces nawrotu do demokratycznej struktury politycznej nie zaszkodzi w takim razie dziełu konsolidacji prawdziwej, sięgającej daleko poza metody „klajstrowania". Czym bowiem może być złączenie jednostek czy grup beztwarzowych? Może być tylko zlepkiem. Kto nie ma własnego oblicza, nie ma i siły, nie może więc tym samym trzymać się z przekonaniem jakiejś całości. Może być tylko do tej całości przyczepiony, czy też przyklajstrowany.

Proces istotnej konsolidacji powinien opierać się na uznaniu niezależności ideowej konsolidowanych elementów. Powinien natomiast stwarzać ideę nadrzędną o takiej rozciągłości i sile, żeby była zdolna zjednać i pomieścić w sobie wszystkie zdrowe i zrównoważone indywidualności. Konsolidacja powinna być konsolidowaniem ludzi, nie klajstrowaniem manekinów. Oblicze takiej konsolidacji ujrzeliśmy w dniu 11 listopada.

Władysław Mazurkiewicz

Postulaty kolonialne

Wysunięcie sprawy zwrotu kolonij zdawało się początkowo nie leżeć w programie polityki narodowo-socjalistycznej. Wszak Hitler w dziele swoim „Mein Kampf" pisał o konieczności położenia kresu przedwojennej polityce kolonialnej Niemiec i zwrócenia całej uwagi na Wschód Europy. O sprawie kolonij zaczęto mówić, a ostatnio coraz to głośniej i mocniej, z chwilą, gdy okazało się, że realizacja programu parcia ku Wschodowi jest narazie nie do wykonania, przede wszystkim zaś gdy wskutek zbliżenia z Włochami sprawa Anschlussu musiała być chwilowo odłożona.

Wysuwając sprawę kolonij Niemcy operują z jednej strony argumentami ekonomiczno-gospodarczymi: koniecznością posiadania dostępu do własnych źródeł surowców i lokowania nadmiaru ludności, z drugiej zaś moralnymi: wyrównanie niesprawiedliwości, jaka rzekomo została popełniona w stosunku do Niemiec przez odebranie im kolonij, sytuacja upośledzenia, w jakiej znajdują się Niemcy w porównaniu z innymi wielkimi mocarstwami, będącymi w posiadaniu ogromnych terytoriów zamorskich, względy prestiżowe i wreszcie kwestia honoru narodowego. Obok tego trzeba jednak mieć na względzie moment wewnętrzno-polityczny. Oddziaływanie narodowego socjalizmu na szerokie masy ludności odbywa się zawsze systemem propagandowym — przez wysuwanie wielkich haseł. Takim hasłem w swoim czasie była sprawa Nadrenii, dalej sprawa zniesienia ograniczeń wojskowych, nałożonych przez Traktat Wersalski, takim hasłem był również Anschluss. Gdy tego ostatniego nie udało się zrealizować, wysunięto nowe hasło — zwrotu kolonij, które w szerokich sferach społeczeństwa niemieckiego znajduje zrozumienie zarówno ze względu na kwestię prestiżu Niemiec, na dalsze obalanie nienawistnego Traktatu Wersalskiego i to w dziedzinie szczególnie dotkliwej — klauzul terytorialnych, jak i przez wzgląd na sytuację ekonomiczną Niemiec, dla której sprawa zwrotu kolonij ma stać się pewnego rodzaju lekarstwem.

Jeśli chodzi o postawienie tej sprawy na forum międzynarodowym, to znane są oświadczenia Hitlera i coraz to energiczniejsza kampania prasy niemieckiej. Na terenie ściśle dyplomatycznym rzecz nie wyszła narazie po za sondowanie gruntu w stosunku do państwa, którego stanowisko w tej sprawie ma znaczenie nieomal decydujące — Anglii. Dotychczasowe rezultaty tych posunięć propagandowych i dyplomatycznych były rozmaite. Będąca u władzy partia konserwatywna, niezależnie od wystąpień poszczególnych jej członków, jak b. ministra kolonij Amery, Chamberlain'a i innych, wypowiedziała się na obu ostatnich zjazdach dorocznych w formie kategorycznej przeciwko jakiemukolwiek zwrotowi kolonij niemieckich. Oświadczenia przedstawicieli rządu w Izbie Gmin i w Izbie Lordów na stawiane im zapytania szły również w tym kierunku. Taką też odpowiedź miał otrzymać w lutym r. b. Ribbentrop od lorda Halifaxa. Na zajęcie przez sfery oficjalne i partię rządzącą takiego negatywnego stanowiska wpłynął m. in. fakt, że dominia, które jak Unia Południowa Afrykańska, Australia i Zelandia zarządzają niektórymi byłymi koloniami niemieckimi, nie są bynajmniej skłonne do ich zwrotu, tym bardziej, że na odebranie kolonij Niemcom po wojnie dominia, uważające Niemców za niewygodnych sąsiadów, wywarły wielki wpływ. Natomiast rząd angielski gotów byłby do podjęcia rozmów na temat poruszony po raz pierwszy przez Samuela Hoara i od tego czasu będący na porządku dziennym w polityce gospodarczej świata, a mianowicie udostępnienia surowców państwom odczuwającym ich brak, z czym związałaby się ewentualnie sprawa polityki „otwartych drzwi", o czym od czasu do czasu jest mowa.

O ile chodzi o inne odłamy opinii angielskiej, to partia liberalna pomimo swego ujemnego nastawienia do hitleryzmu, zajęła w stosunku do postulatów kolonialnych niemieckich stanowisko raczej życzliwe. Podobnież w łonie laborystów odzywają się głosy, wskazujące na potrzebę dania Niemcom pewnych satysfakcyj w dziedzinie kolonialnej. Dla przeciętnej opinii angielskiej charakterystyczny jest w tym względzie opublikowany kilka dni temu artykuł *Times'a*, który przeprowadził w sprawie niemieckich postulatów kolonialnych pewnego rodzaju ankietę. Artykuł ten sprowadza się do stwierdzenia konieczności wzięcia w pewien sposób pod uwagę aspiracyj kolonialnych Niemiec przez stworzenie dla nich pola działania na terenie afrykańskim, z jednoczesnym uznaniem, iż są one „capax imperii". W artykule nie ma mowy o „zwrocie kolonij". Przeciwnie, zaznaczono, że w opinii publicznej angielskiej nie da się znaleźć poparcia dla twierdzenia, iż pokój świata wymaga obalenia systemu kolonialnego, wprowadzonego przez Traktat Wersalski. Jednakże — pisze *Times* — trzeba mieć na względzie, że wśród postulatów niemieckich na pierwszy plan wysuwa się dzisiaj sprawa kolonij. Sprawa ta może być traktowana tylko na gruncie układu ogólnego, na to jednak potrzebne jest stworzenie atmosfery pokojowej, a więc nie wysuwanie jej w sposób krzykliwy i arogancki, po za tym zaś załatwienie sprawy hiszpańskiej.

Przechodząc do oceny postulatów kolonialnych niemieckich, należy zaznaczyć przede wszystkim, iż stawianie tej sprawy na płaszczyźnie usunięcia niesprawiedliwości rzekomo wyrządzonej Niemcom przez Traktat Wersalski, a tym samym na płaszczyźnie rewizji klauzul tego Traktatu, dotyczących kolonij, nie byłoby niczym uzasadnione.

Jeżeli Niemcy mogły z pewną słusznością twierdzić, że ograniczenia wojskowe, narzucone im przez Traktat Wersalski, godziły w ich honor i suwerenność państwową, to w żadnym razie nie da się to powiedzieć o sprawie utraty kolonij. Historia zna mnóstwo wojen, gdy jedne państwa traciły kolonie na rzecz drugich, że przypomnę tylko utratę większej części kolonij amerykańskich przez Francję na rzecz Anglii, przy czym utrata ta stała się definitywną, nie godząc w niczym ani w honor, ani w suwerenność Francji. Jeżeli mowa o sprawiedliwości, to raczej sprawiedliwym wydaje się, ażeby kraj, który przegrał wojnę, za którą w pierwszym rzędzie spada nań odpowiedzialność, ponosił konsekwencje tej przegranej.

Nowy i to tak niebezpieczny wyłom w Traktacie Wersalskim stanowiłby fatalny precedens dla dalszych rewizji jego klauzul terytorialnych i spotęgowałby zamiast utrwalenia pokoju atmosferę nieufności i niepewności. Tak też zdaje się rozumieć tę kwestię, aczkolwiek wyraźnie tego nie mówi, cytowany powyżej artykuł *Times's'a* mogący być uważany za wyraz opinii większości angielskiej.

Natomiast inaczej przedstawia się sprawa, o ile spojrzeć na nią z szerszego punktu widzenia. Jest faktem, na który niepodobna dzisiaj już, o ile się nie jest krótkowzrocznym politykiem, zamykać oczu, iż obok państw „nasyconych" istnieją państwa, których rozwój jest niezmiernie utrudniony wskutek posiadania nadmiaru ludności, a braku niezbędnych dla przemysłu surowców. Państwa te, szukając ekspansji na zewnątrz, stają wobec faktu, że wszystkie t. zw. tereny zamorskie, mogące stanowić przedmiot tej ekspansji, są dzisiaj rozdzielone pomiędzy kilka państw, które strzegą zazdrośnie tych posiadłości. Sprawa kolonij w ten sposób przestaje być tylko sprawą układów co do podziału wpływów politycznych pomiędzy dwoma lub więcej państwami, których tereny kolonialne ze sobą sąsiadują, a staje się stopniowo problemem międzynarodowym, w którym niewątpliwie są zainteresowane Niemcy, ale w którym też są zainteresowane inne państwa, między nimi Polska. Jeżeli więc brać całą sprawę z punktu widzenia ogólnego i wyeliminować z niej momenty „wynagrodzenia Niemcom doznanej krzywdy", jako nie znajdujące żadnego

logicznego uzasadnienia, to należy uznać, że wysuwanie tej sprawy w sposób mocny przez Niemcy nie jest zjawiskiem z punktu widzenia międzynarodowego ujemnym, któremu należałoby się specjalnie przeciwstawić.

O ile chodzi o Polskę, to dzięki odpowiedniej propagandzie, prowadzonej przez Ligę Morską i Kolonialną i właściwemu postawieniu tej sprawy w sposób narazie bardzo dyskretny na terenie międzynarodowym przez naszą dyplomację, opinia publiczna w świecie oswaja się stopniowo z myślą, że Polska należy niemniej od Niemiec do państw, mogących rościć pretensje w dziedzinie kolonialnej. Postawienie na porządku dziennym sprawy kolonii niemieckich stwarza więc dla nas zainteresowanie bezpośrednie. Zarówno jeśli sprawa ta, do czego należałoby dążyć, będzie postawiona na gruncie ogólnym, t. j. nie jako zwrot kolonij Niemcom dla wyrównania wyrządzonej im rzekomo krzywdy, jak i wtedy, gdyby mimo wszystko, rzecz ta przybrała taki właśnie obrót. W tym ostatnim wypadku posiadamy również tytuł do wystąpienia. Jest nim prawo do udziału w podziale rzeczonych kolonij przez fakt dawnej przynależności części ziem polskich do Niemiec. Prawo to zresztą winno być uważane za niezależne od zwrotu kolonij Niemcom. Jeśli w momencie podziału kolonii pomiędzy Francję, Anglię, Japonię i Belgię, nie zostało ze zrozumiałych względów wysunięte, to z chwilą gdyby w dzisiejszym kolonialnym status quo miały nastąpić jakoweś zmiany — może dać zawsze podstawę do odpowiednich roszczeń.

Co do Polski trzeba zaznaczyć jeszcze jedno: byłoby błędem przypuścić, że Niemcy, mniej lub więcej zaspokojone w swych żądaniach kolonialnych, skierują swą energię całkowicie w kierunku ekspansii zamorskiej i zaniechają ewentualnych planów parcia ku europejskiemu Wschodowi. Przede wszystkim jeżeli narodowy socjalizm zechce pozostać wierny wypowiedzianym przez Hitlera w „Mein Kampf" poglądom, to w swej polityce kolonialnej będzie starał się nie drażnić zbytnio Anglii, unikając w ten sposób błędów, popełnionych przez dawną politykę niemiecką. A więc ekspansja kolonialna Trzeciej Rzeszy byłaby powolna i ostrożna, wskutek czego pozostanie w narodzie dość nagromadzonej energii, żeby kontynuować tradycyjną politykę Niemiec — „Drang nach Osten". Szczególnie, że Anglicy, chcąc nie dopuścić do zbyt szerokiej ekspansji kolonialnej niemieckiej i co za tym idzie, zbytniego rozwoju ich floty, mogą się sami starać skierować Niemcy w stronę europejskiego Wschodu. Niemcy więc w chwili usadowienia się w koloniach, zyskują, w stosunku do Anglii, dla siebie wygodny atut i płaszczyznę współpracy, co może być przez nich zużytkowane na zupełnie innym terenie.

*

Sprawa rewindykacji kolonii przez Niemcy ostatnio doczekała się oficjalnego poparcia przez Mussoliniego w jego oświadczeniu, iż Niemcom należy się miejsce pod słońcem afrykańskim. Jest to moment niewątpliwie ważny. Postulaty niemieckie nabierają w ten sposób na sile, ponadto porozumienie Niemiec z Włochami w sprawie kolonialnej może przenieść oś Berlin—Rzym do Afryki, co niewątpliwie szachowałoby w dużym stopniu politykę angielską. Ze względu na ewentualne połączenie z koloniami przez Morze Śródziemne, Niemcy zmuszone byłyby do działania stale w oparciu o Włochy, posiadające na Morzu Śródziemnym niemal dominujące stanowisko. Ta jednak perspektywa szachowania posiadłości angielskich przez włosko-niemieckie, nie może uśmiechać się Anglikom, którzy niewątpliwie będą się starali temu przeciwdziałać. Przeciwdziałanie to wszakże może nie nosić formy bezwzględnie negatywnej do postulatów niemieckich, przeciwnie raczej wyrazić się w chęci przyciągnięcia Niemców, a tym samym zaspokojenia częściowego ich aspiracyj w taki jednak sposób, który by dla Anglików nie był niebezpieczny.

Wizyta lorda Halifaxa w Berlinie, która wywołała duże poruszenie w świecie dyplomatycznym różne komentarze i domysły prasowe, stanowi nową próbę ze strony rządu angielskiego dojścia do porozumienia z Niemcami. „Wydaje mi się — oświadczył kilka dni temu, przemawiając w Edynburgu, Neville Chamberlain — iż chwila obecna jest odpowiednia dla dokonania nowego wysiłku dla przekonania się czy nie ma sposobu rozwiania obaw i podejrzeń między narodami przez głębokie zbadanie ich źródeł i istoty". Wizyta Halifaxa jest niejako symetryczna do wizyty, jaką Ribbentrop złożył Halifaxowi w Londynie w lutym b. r., kiedy zastępował on nieobecnego ministra Edena. Jak wówczas Niemcom chodziło tylko o wysondowanie stanowiska Anglii, tak teraz Anglia stara się zbadać, jakie są zamiary Niemiec i czego żądają dla stworzenia warunków szerszej współpracy międzynarodowej. „P o k ó j ś w i a t a — pisze *Times*—w y m a g a s o l i d n e g o p o r o z u m i e n i a m i ę d z y n a r o d a m i a n g i e l s k i m i n i e m i e c k i m. P o w i n i e n b y ć z r o b i o n y w y s i ł e k d l a z n a l e z i e n i a w s p ó l n e g o p o l a d z i a ł a n i a. Z a d a n i e p o l e g a n a d o k ł a d n y m s t w i e r d z e n i u, w c z y m w y r a ż a s i ę a n t a g o n i z m c e l ó w b r y t y j s k i c h i n i e m i e c k i c h i j a k i e s ą w a r u n k i, k t ó r e u m o ż l i w i a ł y b y i c h p o g o d z e n i e". W związku z tym *Boersen Zeitung* podkreśla, że aczkolwiek czynniki oficjalne angielskie zachowują dotąd w sprawie kolonij milczenie, to jednak z drugiej strony zwiększa się stale ilość Anglików, którzy pragnęliby rozwiązać kwestję kolonialną w sposób wspaniałomyślny'. Wedle korespondenta *Gazety Polskiej* przygrywką do wizyty lorda Halifaxa jest wielki afisz rozlepiony z inicjatywy Reichskolonialbundu po całych Niemczech, przedstawiający czarny mur, a w nim dziurę o kształcie lądu afrykańskiego —dziurę zakratowaną, przez którą widać podzwrotnikowy krajobraz. Obok tego napis: „Jak długo jeszcze bez kolonij!" Z drugiej jednak strony oficjalny organ N. S. D. A. P., *Völkischer Beobachter*, zamieścił artykuł o bogactwach naturalnych... Ukrainy! Choć więc spogląda się w kierunku Afryki, nie daje się ostygnąć zakusom na europejskie ziemie wschodnie. O tym nie należy w Polsce ani na chwilę zapominać.

Aczkolwiek trudno powiedzieć, jaki będzie wynik rozmów berlińskich, o ile chodzi o samo zagadnienie kolonialne, to jednak wszystko zdaje się wskazywać, że atmosfera dla prowadzenia tych rozmów jest bardziej sprzyjająca dla Niemiec, niż to było podczas wizyty Ribbentropa u Halifaxa w Londynie. Być może obok osi Berlin — Rzym, z którą Anglia się liczy, nie życząc sobie mieć naprzeciw zbyt mocno złączonych Włoch i Niemiec, odgrywa rolę chęć niedopuszczenia do dalszego wiązania się Niemiec z Japonią, zainicjowanego w zawartym 6 b. m. pakcie antykomunistycznym.

W każdym razie na tle ostatnich wydarzeń sprawa kolonii niemieckich staje w rzędzie zasadniczych problemów polityki europejskiej. Zainteresowania nasze — bezpośrednie i pośrednie — w tym względzie zmuszają dyplomację polską do szczególnej czujności. Nie wątpimy, że nasze sfery miarodajne są przygotowane na wszelkie ewentualności i że gdy nadejdzie odpowiedni moment, potrafią ogólne interesy Polski należycie zabezpieczyć, a polskim postulatom kolonialnym nadać właściwą formę i wagę.

Melchior Wańkowicz

Ognisko siły — C. O. P.

Przyszła stolica *)

Stolica tego kraju, Sandomierz, Werona polska, przysiadł nad błotnistym rynkiem renesansową attyką ratusza. Nic się w nim nie zmieniło od czasu, kiedy, jako sztubak, fotografowałem w mrocznym muzeum w drzewie rzezaną figurę pokutniczą pana z Chlewisk, który na swojej głowie kazalnicę ku wiecznemu grzechów odpuszczeniu postanowił dźwigać. Tak samo stoi potężny masyw Bramy Opatowskiej, strzela w niebo kościół Św. Jakóba, tak samo w ciasnych uliczkach drżą światła za pozapuszczanymi przesłonkami, a sklepiki żydowskie w rynku w mglistym wieczorze jesiennym różowieją bladym rozproszonym światłem.

Nie znalazłem wielkiej różnicy w przyszłej stolicy Okręgu Centralnego, kto wie — może w przyszłej stolicy Polski. Jeśli to się kiedy stanie, a tak życzył Sandomierzowi, wpisując się do księgi pamiątkowej, Minister Kwiatkowski (znajduję w niej ze wzruszeniem swoje dziecinne pismo z przed lat dwudziestu siedmiu) — to będzie jeszcze jeden wielki psychiczny plus Okręgu Centralnego.

No, ale to dalekie marzenia. Tymczasem w Sandomierzu nie widzę zmian nie tylko ja, ale nie ujrzałby ich Bajdar-Chan, który w 1260 r. miał do wyrżnięcia w Sandomierzu 8.000 mieszkańców i obecnie nie miałby ich więcej.

Kiedy po lutowym expose ministra Kwiatkowskiego gruchnęła wieść o mającym powstać okręgu Centralnym, zrobili Sandomierzanie pochód i wiec, deklarujący pomoc w zamierzonym dziele i entuzjazm. A potem przyszły długie miesiące i dni, w czasie których nic się nie działo. I dotąd nic się nie dzieje. Sapią, zgrzytają machiny budującego się Okręgu gdzieś na peryferiach, ale Sandomierzanom mówi Minister Kwiatkowski jak i Rzeszowianom, jak i innym „Nie mam pieniędzy, rozpaskudziłbym je na drobne. Radźcie sami. Czekajcie. Będzie lepiej i wam".

Minister Kwiatkowski mówi, że jeśli faszyści się witają podniesieniem dłoni, a bolszewicy zwiniętą pięścią, to sposób witania „skarbowy", którym go przyjmują, jest dłoń zwinięta w miseczkę. Myślę w pokorze ducha, że znam i inny sposób, którym witamy skarb i skarbowców — mickiewiczowski (wiadomo, że Mickiewicz na Krakowskim Przedmieściu trzyma się ręką za portfel).

Sandomierzanie więc czekają lepszych czasów, a tymczasem, jak informuje poseł ich okręgu — nic się dokupić nie można. Mam ochotę zatrzymać auto pełne lśniących gentlemanów przed pierwszą lepszą chatynką i spytać za ile by ją sprzedali. Napewno odpowiedzą o rurociągu. Bo właśnie, po tym expose, doszedł ich pierwszy głos z Centralnego Okręgu: do Sandomierza dopełzł wielki gazociąg z pod Daszawy.

Położył się na moście smok i sapie po przebytej stukilkudziesięciu kilometrowej drodze. Krzątają się przy nim stroskani inżynierowie. Jakże to? Między zimą i latem różnica temperatury 50 stopni. To wykróci lub wydłuży gazociąg o trzydzieści centymetrów. Dobre to pod ziemią, ale nie na moście, przez który musi iść, nim go, kiedyś, pod Wisłą nie puszczą.

Więc zakładają smokowi, niby namordnik, potężną rurę amortyzatora. Rura jest elastyczna, zgięta w literę U.

Na operację patrzy dom Długosza, śpichrze Kazimierza Wielkiego, Sandomierz pszenny i żydowski, błotnisty i beztroski.

Zaiste — beztroski. Województwo i dowództwo dywizji ma w Kielcach Sąd Okręgowy, Dyrekcję Kolejową i Dyrekcję Lasów Państwowych w Radomiu, Inspektorat szkolny i P. K. U. w Ostrowcu, Ubezpieczalnię w Tarnobrzegu, Dyrekcję Poczt w Lublinie, Kuratorium Szkolne w Krakowie, inspektorat akcyzy w Opatowie i nawet stacja kolejowa leży po tamtej stronie Wisły i w innym województwie — lwowskim.

Jest coś wzruszającego patrzeć w ten beztroski bezwład, w dawny porządek rzeczy, wiedząc, że idące lata potężnych przeobrażeń zmiotą tę przeszłość bezpowrotnie. Więc jeszcze idę od Wisły ku górze, by kontemplować świątki w drzewie rzezane w muzeum miejscowym i bezcenne ornaty. Wszak Sandomierz jest z dawien dawna grodem biskupim i chłopi tu się nosili na czarno, w księżych czarnych kapeluszach z dużą kresą. Więc jeszcze idę na rynek, by stanąć w cieniu ratusza, zanim stanie się szacownym zabytkiem, któremu łaskawie kąt na świecie rezerwuje nowoczesność, kiedy jeszcze, jak przed wiekami, jest pełnoprawnym uczestnikiem i aktorem zdarzeń. Dr. Estreicher, który przyjechał z Krakowa, uczenie wywodzi, z którego wieku idzie jaka część ratusza. U szczytu jego wieży znalazł się wiek dwudziesty: to dwie czerwone i trzy zielone żarówki świecą na cześć przyjazdu tylu znakomitych gości.

Wchodzę do wnętrza i tam znajduję, obok dawnych mieczów katowskich, tenże wiek dwudziesty. Na lewo plakat z wyszczególnieniem zajęć urzędników. Starosta, nazwisko, w rubryce „obowiązki" — „kieruje starostwem". Vice-starosta, nazwisko, w rubryce „obowiązki" — „zastępuje starostę".

Pouczywszy się w ten sposób co do kompetencji władz, czytam plakat na prawo, zatytułowany „Proste Myśli". Te myśli podpisał p l e n o t i t u l o Dr. Władysław Dziadosz, Wojewoda Kielecki. Rozbieramy sobie te aforyzmy na pamiątkę z Sandomierza. Na moją część wypadł następujący:

„W walce ze złem należy dłoń uzbroić w brutalny miecz — nawet słowo, którym zło potępiamy, winno mieć siłę zabijania. Wytworne formy zło ośmielają".

Jeden z ministrów czyta afisz i pociesza nas: „To falsyfikat"...

W starej katedrze strop nad presbiterium jarzy się polichromią, przypominającą polichromię w kościele Mariackim, a pobok idą odrestaurowane malowidła bizantyńskie. I kiedy w nie się wpatruję, nagle przypominam sobie, że wszak to czwarta żona Jagiełły, Zofka Holszańska, tu sprowadziła mistrza białoruskiego Andrejkę, że wszak aż tu dociągnął wiew Byzancjum, w epoce przedrenesansowej, kiedy Zachód gotycki nie znał malowidła ściennego. Krążyły więc nad tym błotnistym Sandomierzem, nad tą przyszłą stolicą, wiry światowych starć, aż ucichły.

Obok chóru widzimy rozczulające bohomazy: rzeź 49 dominikanów sandomierskich przez tatarów, kiedy to wół oszalały z trwogi pobiegł na góry pieprzowe i wyrył rogiem napis „salve Regina", męczeństwa pierwszych chrześcjan, podzielone według miesięcy, bardzo realistycznie wyimaginowane, rycerz Bobola, siłą wyrzucony wraz z koniem przy wybuchu prochów od Szwedów założonych — na drugą stronę Wisły.

Przewodnik po Sandomierzu martwi się, że one malowidła „bynajmniej nie mogą być wzięte za ozdobę świątyni". Jestem innego zdania. Lubię te bezpretensjonalne malatury, opiewające dole i niedole ojczystego grodu.

I lubiłbym, gdyby w katedrze pojawiło się wielkie malowidło, w którym minister Kwiatkowski w uroczystym tużurku na tle ultramarynowej Wisły dopełniałby przeglądu inżynierów, a ci inżynierowie, też w tużurkach, staliby w szeregu z jednakowo wykręconymi głowami i wszyscy mieli ten sam profil. Albo żeby po rozkopanych polach Koprzywnicy, pod flagą Arkonów, chodziła sobie ze skowronkiem na ręku Najświętsza Panienka.

•

Kiedy wychodzę z katedry, słyszę, że

*) Ciąg dalszy — patrz „N. i P." nr 44.

jakiś woźnica umęczoną gębą klnie chłopaka pomocnika per „taki synu". Spostrzegam, że „proste prawdy" wojewody Dziadosza zawędrowały pod strzechy. Chwilkę mi się z tych doczepionych lampek robi tak nudno, że leciałbym jak ów byk na góry pieprzowe i rył w ziemi „Boże ratuj!". Ale reflektuję się, że nie ma potrzeby. Przyjdzie i do Sandomierza pierwsza pięćdziesięciozłotówka, zainstaluje się w nim jutro pojutrze rurociąg, dotoczy się zwolna Okręg Centralny.

W Rzeszowie

Jeśli jedną nóżkę cyrkla ustawimy na ujściu Sanu do Wisły, więc tuż przy stolicy okręgu, Sandomierzu, a drugą zatoczymy koło o promieniu stu kilometrów, to obwód koła pójdzie, licząc od południa na zachód, mniej więcej Pilznem, zostawiając Tarnów nieco w głębi, przez Tuchów, Brzesko, Działoszyce, zostawiając nieznacznie w głębi Jędrzejów i Opoczno, nieco bardziej Radom, przez Kozienice, Chełm zostawiając nieco w głębi, przez Hrubieszów i znów nieco w głębi zostawiając Chrzanów, Jarosław i Rzeszów.

Wjeżdżamy do tego ostatniego. To tu już rozpoczynają się skaliste podgórza Karpat, w które poczyna przechodzić nadwiślańska równina.

Rzeszów, „jedno z najpiękniejszych trzeciorzędnych miast Galicji", jak głosi Wielki Słownik Geograficzny, za czasów polskich, jak i niezapomnianej pamięci austriackich, żył sobie spokojnie w cieniu zamku Ligęzów i Lubomirskich, przebudowanego przez rząd cesarsko królewski na więzienie. W głównych ulicach i w rynku wznosiły się statecznie jedno i dwupiętrowe kamieniczki, w bocznych ulicach rustykalną, polsko - szlachecką modłą, adoptowaną przez żydów, wznosiły się murowane dworki. Do Wisłoka schodzi, jak i od niepamiętnych czasów schodziła, brudna dzielnica żydowska i dlatego może podróżujący po Galicji w 1803 r. Bredelski skarży się, że Rzeszów jest brudny i nazywa go galicyjską Jerozolimą.

Owa galicyjska Jerozolima, na szlaku między Krakowem i Lwowem leżąca, musiała sobie widać, jak mogła, pomagać w szlachetnym kunszcie złotniczym, który się w niej począł, skoro tombak otrzymał nazwę „rzeszowskiego złota". Miasto wegetowało w biedzie, w drobnym przemyśle i handelku, w lojaliźmie austriackim i patriotyźmie polskim autonomicznym. W rocznice świąt narodowych rajcowie dawali upust nieszkodliwym wylewom patriotycznym, w uroczystości cesarskie c. k. starostowie zanosili przed tron uczucia ludności. Jeden z tych dostojników, kreiskapitan Riedheim, na studni stojącej w rynku wyryć kazał: *„Senatus populusque rzeszoviensis"*. I „senatus" zresztą i „populus" w tym emeryckim mieście nędzy galicyjskiej przedstawiały się niebogato. Targi odbywały się we wtorki i piątki, jarmarki na św. Trójcę, 23 kwietnia, 17 lipca, 21 września, 21 grudnia. Zboże, bydło, nierogacizna, konie z niedalekich: Pobitnej, Rudki, Staroniwy, Wołkowyji, Załęża, Zwieńczyc.

Obecnie wjeżdża do Rzeszowa lśniący orszak Buików i Fiatów, za nimi suną trzy wielkie autobusy P. K. P. Podążamy do ogromnego kompleksu fabryki silników P. Z. L., w ciągu trzech miesięcy prawie pod dach wzniesionej, która zatrudni dwa tysiące robotników. Potem jedziemy na drugi koniec miasta do fabryki Cegielskiego, którą poczęto budować 20 kwietnia, wyzyskując pozostałości starej zbrojowni poaustriackiej.

Po podwórcu, na którym latami ziewały austriackie zupaki, lub brzuchate feldfeble, mówiące z kroacka po Wiedeńsku, amciły klajster komiśnej roboty — idziemy ku gorejącej w ciemni nocnej olbrzymiej 11,000 metrów liczącej hali. Już idzie fabryka!

Kiedy tak oglądam w tym Okręgu Centralnym zakład po zakładzie, mam wrażenie, że Polska, to jest jakaś wielka, w mrok w niewiadome po za granicę Okręgu Centralnego rozciągająca się bibuła, chciwie wchłaniająca każdą kroplę produkcji, jakaś pustynia o niezmierzonym stopniu chłonności.

Ot i tu: Polska potrzebuje obrabiarek za 30 milionów rocznie, gdy krajowa produkcja nie była w stanie zapewnić jej więcej niż za 6—7 milionów. Dzięki nowej fabryce będziemy w stanie kryć własne zapotrzebowanie omal bez reszty, nie uciekając się do importu.

Fabryka staje z pieniędzy, którymi Niemcy spłacają 70 milionowe zamrożone należności transportowe, które ma u nich Polska. Już stoi w wielkiej hali około stu maszyn, z których część jest w ruchu, reszta w montażu — strugarki, wiertarki, fryzerki, tokarki, rewolwerówki, szlifierki. Przesuwamy się wzdłuż maszyn borujących, heblujących, tnących. W oczach naszych bloczki stali przybierają formy trybów, dźwigów, kółek, suwaków, które pójdą w świat i będą produkowały po najmniejszych warsztatach, do których prądu dostarczy Rożnów, gazu rurociąg, — będą wypełniały głodną maszyn Polskę.

W pewnym miejscu stalowy cylinder obraca się naokoło swej osi. Hebel stalowy, zakończony „widiamem", ostrzem ze specjalnej stali *(vie diamant)*, którą płacimy po 600 zł. za kilogram Kruppowi (głosy oburzone: „bardzo przepraszamy, już Baildon w Polsce wyrabia nie gorszy"). Cieniutka rozgrzana strużyna odwija się ze stalowego cylindra, który zwęża się przy końcu w drapieżny kształt.

— Co to pan robi? — pytam tokarza.

— Ee, taki tam kawałek — uśmiecha się do mnie; siwe oczy patrzą z nad kombinezonu przyjaźnie i porozumiewawczo.

Sto maszyn, każda inna, już mamy, do Nowego Roku będzie drugie sto, do wiosny trzecia setka. Obecnie już pracuje 590 robotników (nie licząc 150, którzy wykańczają roboty budowlane), 150 inżynierów, techników i urzędników. Gdy zakłady całkowicie ruszą, będą zatrudniać tysiące przeważnie kwalifikowanych robotników.

W części hali fabrycznej urządzono przyjęcie dla naszej wycieczki. Podczas, kiedy posilaliśmy się, stał dookoła zgrzyt maszyn, zapalały się po przewodach, po sygnalizatorach, fioletowe światełka, wyskakiwały girlandy iskier, pracowali robotnicy.

Przypomniałem śniadanka, które dawnymi czasy zdarzało mi się jadać po zwiedzaniu fabryk, kiedy oglądało się wprzód robotników, a potem, w apartamentach dyrektorskich, strzelały korki. I poczułem się w tej uczcie w kącie hali fabrycznej takim samym robotnikiem, który ma coś do zrobienia.

Za stołem siedzę z działaczem rzeszowskim. Pasjami lubię mówić z działaczami miejscowymi, kiedy im coś spada na głowę. Gość z zewnątrz widzi wszystko w dużym masztabie i nie ma zmartwień o szczegóły. Oni tu się martwią, że zniknie ten płotek, czy tamta łączka i otrząsają się na roje przybyszów, którzy im spokojne zasiedziane kąty poczynają nałazić. Burmistrz Sandomierza, stary pan w tużurku, z bardzo czarnymi i podkręconymi wąsami, zwierzał mi się, że z całej tej prosperity to ma Sandomierz na razie tylko łazików, którzy zbiegają się z całej Polski szukać chleba i z którymi ma biedę opieka społeczna prześwietnego magistratu. Rzeszowiacy się kłopocą, że w ciągu 2—3 lat przewiduje się podwojenie dotychczasowej ludności, t. zn. zwiększenie jej do 50,000. Miasto handlowo-rzemieślnicze zmienia się w ośrodek fabryczno - przemysłowy. W związku z tym ojcom miasta pęka głowa: opracowanie planów zabudowy, zakup terenów budowlanych, nim nie rozhula się spekulacja bez reszty, budowa mieszkań dla robotników, rozbudowa wodociągów i kanalizacji, budowa nowej rzeźni i chłodni, urządzenie targowicy zwierzęcej, budowa hal targowych, rozbudowa elektrowni, rozbudowa gazowni, jezdni, szkół powszechnych, szpitala, budowa mostu, zaopatrzenie miasta w odpowiednią ilość zieleni.

Głowa pęka rajcom, wszystkie emeryty, wcinając „maczankę" po handelkach, już nie mówią o Hiszpanii, przestali nawet dawać zbawienne rady dla Koca, a deliberują, co też to się dzieje. A ojcowie miasta, jak to ojcowie. Powitają pana ministra skarbu „pozdrowieniem skarbowym". Ale wicepremier Kwiatkowski mówi „niech Pan Bóg opatrzy — nie mam — nie dam — nie mogę".

Ojcowie miasta patrzą osłupiali. Coś tak się powtarza jak z tym wróżeniem z margerytki:

Mówi wicepremier w sejmie, wygłasza expose — to jest „kocha, lubi, szanuje...“ Przyjedzie do Rzeszowa — okazuje się, że „nie chce, nie dba, żartuje...“

Ale twórca Gdyni — po prostu — nauczył się na niej, że w warunkach polskiej rzeczywistości trzeba iść daleko wystrzelającymi ponad szarą rzeczywistość rzutami wprzód. Rzeczywistość będzie skrzeczeć i dociągnie się. Równomierne podnoszenie poziomu skazałoby nas na wegetację.

Kiedy wyjeżdżamy z Rzeszowa, na rynku, w świetle reflektorów, wyłania się pomnik. Rzeszowianin. Lis - Kula. Pamiętam, jak przyjechał do Bobrujska z rozkazu pułkownika Śmigłego - Rydza. Bobrujsk był rozkiśnięty w rewolucji rosyjskiej, w rozłogach białoruskich, w kleszczach niemieckich, w zmęczeniu polskim. Ten chłopaczek rzeszowski przyniósł nam jasny uśmiech, wolę zwycięstwa i świadomość rozkazu.

W cieniu zalegają olbrzymie zakłady silników. W pełgach ogni rynkowych, jak znak, wysoko na cokole, tkwi idący do ataku Lis. W dole, w rynku układają się patrycjusze do niespokojnego snu. Wszawa biedota nad Wisłokiem przestaje butwieć.

W Pobitej, w Rudkach, w Staroniwie, w Wołkowyji, w Załężu, w Zwieńczycach ukazały się pięćdziesięciozłotówki...

»Siedzi sobie ruda pod miedzą, geolodzy w Jaśle nie wiedzą«...

Młodzi chłopcy w wieku Lisa Kuli teraz mają inne niż on zmartwienia, swoje szeregowe zmartwienia kolejnego pokolenia. Budują tę rzeczywistość, którą tamci wywalczyli i zamartwiają się nowym zmartwieniem, mają nowe troski, obawy, niepokoje o te tam „zwisy“, „zaciski odciągowe“, „zaciski wieszakowe“, „konstrukcje wsporne“, „rury przepustowe“, „wąsy uziemienia“, mówią nowym, całkiem nieznanym nam, starym dziadom, językiem, który dzwoni i świergocze nad Polską w pełnym słońcu, aż się rozszerza pełnym westchnieniem pierś.

Są jak te termity, opisywane przez Maeterlinka, jak mrówki, które podglądał Ewers. Snują się w wiecznym, ale celowym niepokoju, muśnięciami rożków, językiem ich własnym udzielają sobie zachęty, napomnień, wiadomości.

Z tych potrącań i porozumiewań wyszła nagle jedna dominująca troska. Miał ją młody inżynier u Cegielskiego, miał ją ten z zakładów południowych, miał tamten z zakładów silnikowych. Wszyscy oni spostrzegli, że pracują, że produkują, że planują na rzecz zwiększenia zarobków handlarzy złomem, na rzecz osłabienia bilansu handlowego kraju.

Rzecz w tym, że tworzywem stalowni martinowskich jest t. zw. „wsad“ złożony ze złomu żelaznego i surówki żelaznej. Może to braki polskiej rudy, a może potężne wpływy wielkich koncernów handlujących złomem sprawiły, że przeważnie dla wytwarzania stali braliśmy złom, niewiele przerabiając rudy. Stąd piece wyrabiające rudę są w Polsce słabo rozbudowane. Łom zaś, wobec tego, że Polska mało zużywa żelaza, musieliśmy importować w 50 procentach. W roku 1936 importowaliśmy go za 37 milionów złotych. Nieźle.

Ale rudy też importowaliśmy za 7 mil. zł rocznie. Czyli i tego i tego nam brak. Ładne perspektywy w czasie wojny!

Proszę teraz wczuć się w psychologię takiego chłopaka: dłubie sobie nad swoim rajsbretem, planuje różne różności, ugania się po placu, nadzorując nowe montaże, słucha z rozdziawionymi ustami „starych“, co raz to zdumiewa się radośnie, że on i jego koledzy wyczynili aż taką rzecz, przeżywa raz po raz objawienia, jak ten rekrut, którego długo uczą o karabinie, o iglicy sprężynowej, celowniku i wizjerze i który pierwszy raz z tego teoretycznego przyrządu na wojnie wypalił i widzi, że mu się kozuń nakrył nogami i ani drgnie. Widzi młody inżynier, że z tych tam rajsbretów, z poszczególnych części naprawdę, nie dla egzaminacyjnego pucu, powstało żywe ciało nowej maszyny, która gdacze trybami, wachluje się ogonem transmisji, łyka smary i wypluwa gotowy produkt. Rośnie młody inżynier w dumę, a tu mu mówią, że to wszystko jest z łaski sąsiada, że w każdej chwili może przyjść ktoś trzeci, wykrzywić się na nieszkodliwą zabawę polską i po prostu kazać im, twórcom, Prometeuszom — skończyć zabawę i iść spać.

Okropnie do serca wzięli sobie tę całą sprawę. I tak jak są — młodzi, od zabaw dziecinnych jeszcze nie całkiem odrośli, urządzili sobie po Polsce zabawę w berka, którą nazwali „poszukiwaniem rudy“.

Więc — nie żaden instytut geologiczny. Więc — nie żadne inżyniery, ekspedycje badawcze, studia wstępne. A po prostu — zalepili cały południowy kąt Polski plakatami, wzywającymi, aby każdy, kto znajdzie ciężki kamień, przesłał go do Wspólnoty Interesów, a ta mu wypłaci 5 złotych. A jeśli wyśle na skutek tego komisję na miejsce — 50 zł. A jeśli ta komisja orzeknie, że warto kopać i poczną kopać — 1000 zł. A jeśli ten grunt gospodarza zostanie zabrany na eksploatację...

Ale dosyć, bo możnaby powiedzieć, jak ten żyd do synka, entuzjazmującego się co będzie, jak ubezpieczona ciocia straci nogę... i drugą... i jeszcze rękę... — „Ty marzyciel, ty marzyciel...“

Dosyć, że przysłano 140 kamieni. W jednym był specjalnie duży procent rudy. Nadesłał go chłop Boroń ze wsi Gogołów, koło Frysztaka.

Wspinamy się do tego Gogołowa, który wisi nad doliną jak pobliski ongiś zamek Odrzykoń, w którym rezydował „Pan Zamczyska“ opiewany przez Goszczyńskiego. Chałupa Boronia nie wygląda na zamek, ale też wisi w krajobrazie jakoś dekoracyjnie i teatralnie. Wspinamy się dróżyną - wąwozem pod górkę, słońce ukośnie oświetla chałupinę, w snopy strzyżone, w schodki krytą. Nad chałupiną dwa drzewa — liściaste i szpilkowe na tle kumulusa i dalekich dolin, biegnących zielonymi garbami. Coś, niby widok z jakiejś Fudżijamy, a może zgoła z marzeń dziecinnych o chałupce na kurzych nóżkach, ze stylizacyj obrazków w książkach dla dzieci.

Na takich obrazkach do domku z cukru lodowatego idą krasnoludki po płytkach z piernika. W naszej baśni, którą wyczarowały te chłopaki, idziemy po rudzie, po autentycznej, zbronzowiałej, jak piernik, zoksydowanej w powietrzu rudzie. Ruda leży na drodze, ruda zwałami głazów podpiera stodoły chłopskie, ruda przegląda z płytkiego wartkiego strumienia.

Ogarnia nas wzruszenie. Ruda! — Te wszystkie kolosalne zakłady, które żeśmy widzieli, tu, na miejscu, w Okręgu znajdą dla siebie źródła surowca.

A tuż obok, w Jaśle, od 60 lat urzęduje Urząd Górniczy, obecnie ekspozytura Instytutu Geologicznego. I na kartach Instytutu nic z tego nie było. Można było śpiewać o tej tu rudzie, że „siedzi sobie ruda pod miedzą, geolodzy w Jaśle nie wiedzą“.

Lustracja z roku Pańskiego 1564 tak o jaślanach powiada: „dają progowego po groszu, z łaźni grzywny 8, za łój grzywny 5, flakowego z jatki po gr. 2, wszyscy zaś składają się na dobre cielę“.

Nie znęcajmy się jednak nad Jaślanami, bo lada chwila i nas może spotkać kompromitacja — wynajdą nam coś pod bokiem i będą się natrząsać.

Skoro tylko zjechała do Boronia komisja i wypłaciła mu pięćdziesiąt złotych — juźciż wkrąg rzuciły się chłopy do szukania popod krzakami tęczowego papierka. W mig z raportów, które napłynęły zewsząd, odtworzono pierwszy zarys. Przysłano 3 geologów, 3 inżynierów-górników, 4 sztygarów, 16 górników-fachowców, zaangażowano około trzystu okolicznych chłopów. Jedni szukają, a inni już wiercą.

Ci szukający, zidentyfikowali pas eocenu na długości około 70 kilometrów. Znajduje się w nim ruda, której zaleganie jest obecnie badane przy pomocy trzech sztolni. Dotąd zidentyfikowano 22 warstwy rudy, a każdy metr dobytej ziemi daje jej średnio 170 klg. Oznacza to wydajność pięciu milionów ton na kilometrze kwadratowym, podczas gdy pokłady częstochowskie dają tylko 900 tysięcy. Pięć do sześciu razy obfitsza wydajność! Wielkie perspektywy mogą otworzyć się przed nami.

Stoi chłop Boroń na wzgórku w otoczeniu ministrów i dyrektorów. Warkocze aparat kinowy, szczękają migawki aparatów. W ręku trzyma wachlarz dziesięciu „dąbków" (stuzłotówka nosi rysunek dębu, stąd ta nazwa), które mu wręcza p. Kowalski, dyrektor Wspólnoty interesów. Chłop Boroń jest po prawdzie bywały chłop: pracował w Ameryce, pracował w kopalniach na Śląsku. Już on ta wiedział co posłać. Może by tak Instytut Geologiczny posłać na trawkę i założyć nowy — imienia Boronia. Naturalnie, są to żarty. Bez środków nie pomógłby żaden Instytut. To też w tym roku budżet Instytutu Geologicznego zostaje siedmiokrotnie zwiększony. Nadto nie ma w Polsce ani jednego bezrobotnego geologa.

Teraz jedziemy do gospodarza Armaty o 35 kilometrów. Tam już zabrali się do kopania. Znowu musimy wysiadać z wozów i piąć się w górę. Znajdujemy prymitywny szybik, który poszedł na 25 metrów w ziemię, obsługiwany ręczną korbą, do którego się złazi po drabinach. Sztygar przy nim, sprowadzony z Zagłębia.

— Szczęść Boże!...

— Szczęść Boże!...

Przeginam się nad szybem i patrzę w głąb . Pierwsza moja myśl, że dalibóg, Tirliporek, moja córeczka, niesłusznie „konia" otrzymała z rysunków. Kazali im narysować, jak św. Kinga odkrywa kopalnie soli. Jej koleżanki się męczyły, rysując św. Kingę, dworzan, górników. Tirliporek zaś narysował dwie kreski, imaginujące dwie ściany sztolni i kółeczko między nimi — to był pierścień rzucany przez Kingę.

— A gdzież Św. Kinga? — pyta podejrzliwie nauczycielka.

— Na górze — rzeczowo odpowiada Tirliporek.

— A górnicy?

— Górnicy — nie traci kontenansu Tirliporek — oni „płacują" na dole.

Patrząc w głąb ciemni, myślę sobie, że może i pracują tam ludzie, a może i nie. Gdy nagle w zawiesinie czarności, gdzieś nie wiadomo to gdzie, ukazuje się soczysty tłusty ogień i piękno tego nagłego zjawienia się ognia na tle nicości, wywołuje westchnienie ulgi. Niebawem korba wciąga na powierzchnię 50 kilogramowy ceber rudy. Do stu takich cebrów wyciągają dziennie. Wykuwają tę rudę górnicy, świecąc sobie karbidowymi lampami, drążąc chodnik wysokości do dwu metrów.

Teraz, kiedy przed oczy nam się wysiępnęło tajemnicze wnętrze ziemi, przez tysiąclecia strzeżone i nieodkryte, poczynamy gorączkowo pytać, co też z tego będziemy mieli. Dyrektor Kowalski objaśnia, że przy przypuszczalnej produkcji przyszłorocznej stali surowej w wysokości 600.000 ton, musi Wspólnota Interesów importować rudy i złomu za łączną sumę 39 milionów złotych. Koszt produkcji tonny określałby się wówczas na 163 zł. O ile więc teraz będziemy używali większą proporcję rudy, co dla jakości stali jest obojętne, to opędzimy się własnym surowcem i będziemy w stanie produkować tonnę stali za 141 zł. Mielibyśmy oszczędność dla Wspólnoty Interesów 13 milionów złotych, i, licząc, że jednak trzeba będzie sprowadzić topników i wysokoprocentowej rudy za 3 miliony — mielibyśmy zapotrzebowanie dewiz mniejsze o 36 milionów.

Produkcja rud krajowych dałaby zatrudnienie około 5350 robotnikom i 550 urzędnikom.

Kiedy wyjeżdżamy od gospodarza Armaty, patrzymy na te drogi zatłoczone pełznącym mrowiem ludzkim, na nędzne spencerki chłopów, na żydów z grajcarkami, snujących się po wszystkich drogach z jakimiś swymi sprawami. Zdajemy sobie sprawę, że jedziemy najgęściej niemal zaludnionym krajem Europy, że to zaludnienie rozpleniło się nie na pożywce przemysłowej, nie na handlu, ale, po prostu, na nędzy. I po przez „psikus" młodych inżynierków widzimy oczami wyobraźni ten kraj za niedługich lat dziesięć. d. n.

St. A. Groniowski

6 listopada r. 1918

2)

W dniu, kiedy młodzież zebrała się na narady w sprawie wojska, nietylko toczyła się już wojna z Ukraińcami, lecz również wisiała nad Polską groźba zatargu wewnętrznego o władzę. W ciągu kilku dni — z października na listopad — wiosna polityczna minęła już. Niepodległość powstawała wśród krwi i żelaza, a zarazem — wśród rozpoczynających się fermentów wewnętrznych.

Antypatie młodzieży były jednolite. Nie chciała przysięgać na wierność Radzie Regencyjnej. Nie chciała tego czynić zwłaszcza lewica, przede wszystkim nie wierząc, by Rada zdobyła się na wyzwoleńczy czyn wobec Niemców.

Ale sympatje młodzieży nie były jednolite, ani łatwe do urzeczywistnienia. Młodzież ententofilska, przeważnie narodowo-demokratyczna, nie chciała przysięgać Radzie, ale nie chciała iść również pod komendę Rydza, o ile miałby on tworzyć jakieś wojsko „lewicowe". Zresztą, sama akcja Rydza też nie była zjawiskiem całkowicie określonym dla Warszawy. Na Lubelszczyźnie formowały się też oddziały luźne, mające teraz bezpośrednio na celu udział w wojnie z Ukraińcami. Rotmistrz Gustaw Dreszer formował w Chełmie kawalerję w celu zajęcia Wołynia. Roja formował oddziały w Krakowie. Tworzono oddziały w Przemyślu. Zaprzysięgano poaustriackie pułki polskie w b. okupacji austriackiej — na rzecz Rady Regencyjnej. Panował więc chaos, z którego nie widziano wyjścia.

Położenie lewicy akademickiej było nie o wiele lepsze. I ona nie umiała w tej chwili wskazać akademikom napewno, dokąd mają wstępować. Nie wiedziano jeszcze, jak się rozwinie akcja Rydza, nie wiedziano co uczyni P. O. W. na terenie okupacji niemieckiej.

Nadto zaś zarówno prawica, jak lewica rozumiała, że w razie rzucenia hasła wyjazdu do wojska do b. okupacji austriackiej i do Galicji cały ruch młodzieży może spalić na panewce wskutek trudności przepustkowych i komunikacyjnych.

Toteż z chwilą gdy na Konferencji padło nieuniknione zapytanie: dokąd polecić młodzieży wstępować — ani inicjatorzy zebrania, ani pozostałe organizacje nie mogły dać odpowiedzi. Dla zebrania informacji odroczono Konferencję do następnego dnia, licząc, że przyniesie on wyjaśnienie sytuacji.

Wyjaśnienie to nie nastąpiło jednak. Natomiast rzucone poprzedniego dnia hasło wstępowania do wojska i zamknięcia wyższych uczelni rozpowszechniło się szybko i przyjęte zostało przez młodzież z zapałem. Zebrana po raz drugi, 5 listopada wieczorem — jak zwykle w „Bratniej Pomocy" Uniwersytetu — Konferencja Ogólno - Akademicka stanęła wobec faktu, że patriotyczna masa akademicka pali się do wojska i niecierpliwie oczekuje zwołania wieców. Do jakiego wojska? Wszystko jedno, byle do polskiego.

Rozumiano już w łonie Konferencji, że formowanie wojska jest sprawą niecierpiącą zwłoki, że dalsze odkładanie wystąpienia akademików jest niedopuszczalne, że zapał trzeba wyzyskać na gorąco i pokierować jego zastosowaniem w praktyce. Ale w dalszym ciągu nie umiano odpowiedzieć na pytanie: dokąd popchnąć akademików? I trawiono długie godziny na dyskusji.

Akademicka lewica niepodległościowa, zmuszona do zajęcia stanowiska, wypowiadała się w każdym razie przeciw wstępowaniu do wojska Rady Regencyjnej, czyli t. zw. „Wehrmachtu" („Polnische Wehrmacht" — „Polska Siła Zbrojna"). Skłaniała się ku temu, by ostatecznie zalecić młodzieży wyjazd do Lublina (do Śmigłego - Rydza) lub do Krakowa (do Roji), zostawiając wybór zainteresowanym. Jednakże w głębi duszy, a w zgodzie z Polską Organizacją Wojskową, lewicowe organizacje młodzieży obawiały się ogałacać z młodzieży akademickiej niewyzwoloną jeszcze Warszawę. Najbardziej odpowiadałoby im, gdyby się udało, wyzyskując zapał młodzieży, zorganizować ją wojskowo na miejscu w jakiejś formie niezależnej od „Wehrmachtu"

i zatrzymać w pogotowiu na bliską już chwilę upadku okupacji niemieckiej, kiedy parę tysięcy młodzieży patriotycznej mogło stać się w stolicy nader potrzebne. Ale myśli tych ze zrozumiałych względów niepodobna było ujawniać na szerszym zebraniu.

Prawica akademicka, nie mogąc zalecić wstępowania do „Wehrmachtu", ani do oddziałów Śmigłego, a zdając sobie sprawę z wielkich trudności masowego wyjazdu do Krakowa, nie chciała, by uchwała wiecowa wymieniała konkretnie, do jakich formacji należy wstępować. Nie mogąc zaś sama się zdecydować, pozbawiała się tym samym wpływu na polityczny kierunek zaciągu do wojska. Za to tym łatwiej mogła zarzucać lewicy zajmowanie w sprawie wojska stanowiska partyjnego.

Denerwująca dyskusja przeciągała się godzinami. Widoczne było, że nikt nie może powiedzieć wszystkiego, co myśli, a zarazem nikt nie umie obronić tego, co proponuje. Wszyscy chcieli rzucenia młodzieży do wojska. Wszyscy męczyli się świadomością wewnętrznej sprzeczności, jaka ich trawiła. Chwilami rozprawy przybierały charakter dramatyczny.

W jednej z delegacyj doszło nawet do secesji. Leonard Zarzycki, słuchacz Wyższej Szkoły Handlowej, nie porozumiawszy się z resztą delegacji „Zarzewia", przemówił ostro przeciwko wstępowaniu do „Wehrmachtu". Jako przewodniczący delegacji (byłem wtedy słuchaczem prawa) zażądałem, by nie przemawiał bez porozumienia z delegacją. Na to Zarzycki natychmiast wystąpił z organizacji. Na lewicy akademickiej byłem wtedy jednym z bardzo niewielu, którzy uważali, że rząd narodowy powinien być utworzony w drodze legalnej przez porozumienie z Radą Regencyjną, oraz że w obecnej chwili nie mają już podstaw, słuszne w okresie poprzednim, zastrzeżenia względem „Wehrmachtu", do którego teraz, jako do wojska regularnego, podlegającego już od niedawna nareszcie wyłącznie władzy polskiej, winna właśnie wstąpić młodzież akademicka, dzięki czemu zarazem pozostałaby do rozporządzenia na miejscu na chwilę upadku okupacji niemieckiej. Udało mi się osiągnąć przynajmniej tyle, że delegacja zarzewiacka wogóle nie zabierała wtedy głosu. Gdyby byli wtedy obecni w Warszawie Stanisław Pstrokoński, słuchacz Politechniki, należący do wewnętrznej konspiracji peowiackiej — „Związku Wolności" („Z. W.") oraz Adam Stebelski, słuchacz prawa, niewątpliwie przeważyliby oni w naszej delegacji szalę przeciw „Wehrmachtowi", co napewno odpowiadało większości zarzewiaków.

Wśród męczącej bezpłodnej dyskusji około północy otrzymano wiadomość, że lewica niepodległościowa starszego społeczeństwa zdobyła się na wspólny czyn, że powstał w Krakowie lewicowy rząd narodowy — Dyrektoriat z pięciu osób — i że przedstawiciel Dyrektoriatu w Warszawie wypowiedział się za tym, aby młodzież oddała się do rozporządzenia nowej władzy. W celu sprawdzenia tej wieści Młodzież Narodowa, Filarecka i Niezależna Socjalistyczna wydelegowały po jednym przedstawicielu (prawnika Juliana Dreszera, politechnika Stasiakowskiego i matematyka Stanisława Sachsa), którzy wraz z przewodniczącym na tym zebraniu Konferencji St. J. Paprockim udali się do Artura Śliwińskiego, jednego z przywódców lewicy. Konferencja zgodziła się czekać z decyzją na ich powrót. Delegaci przynieśli potwierdzenie wiadomości.

Teraz dla wszystkich trzech ugrupowań lewicowych położenie wydawało się jasne: po jednej stronie Rada Regencyjna, obciążona zarzutem ugody z Niemcami, pozbawiona jakiegokolwiek oparcia w społeczeństwie, skrępowana obecnością i władzą okupanta — po drugiej zaś stronie rząd, przebywający na ziemi wolnej od zaborców, złożony z przedstawicieli stronnictw, które przez całą wojnę zdecydowanie szły ku niepodległości, popierając akcję Piłsudskiego, a wnosiły nadto poważny kapitał: oparcie w masach ludowych. Zaniechałem w sprawie rządu i wojska opozycji w „Zarzewiu", która wobec powszechnego nastroju stała się absolutnie beznadziejna. Względy na rzecz Dyrektoriatu wydawały się wielu członkom Konferencji z punktu widzenia odbudowy zjednoczonego państwa tak dalece słuszne, że nawet dwie organizacje centrowe, społecznie umiarkowane — ententofilska Młodzież Niezależna, zgrupowana na Uniwersytecie w „Kole im. Staszica" oraz Młodzież Narodowo-Liberalna, działająca wyłącznie na Politechnice — przystąpiły w sprawie wojska do wniosku, który złożyły teraz przez usta Paprockiego trzy organizacje lewicy: Młodzież Narodowa, Filarecka i Zarzewiacka. Wniosek, który miano przedstawić do uchwalenia na wiecach akademickich, ujęto ostatecznie w formę następującą:

„W pełnym poczuciu powagi sytuacji i dokładnym zrozumieniu ciążącego na niej obowiązku młodzież akademicka:

1) żąda natychmiastowego ustąpienia Rady Regencyjnej, jako instytucji wysoce szkodliwej dla interesów nowopowstającej Polskiej Rzplitej Ludowej;

2) oddaje się do dyspozycji Narodowego Rządu Ludowego opartego na najszerszych warstwach społecznych przez natychmiastowe przystąpienie do akcji wojskowej. Techniczne przeprowadzenie akcji tej powierza się Akademickiemu Komitetowi Wykonawczemu;

3) postanawia powierzyć Akademickiemu Komitetowi Wykonawczemu funkcje następujące: a) porozumienia się z Narodowym Rządem Ludowym, b) wyznaczenia ostatecznego terminu przystąpienia młodzieży akademickiej do akcji wojskowej, c) porozumienia się z władzami akademickimi w sprawie terminu zawieszenia zajęć na wszystkich wyższych uczelniach".

Młodzież Socjalistyczna Niezależna — mimo całej sympatii dla idei rządu lewicowego — trwała nadal przy swoim punkcie widzenia: przeciw przymusowi wstępowania akademików do wojska oraz przeciw zamykaniu wyższych uczelni.

Nie uniknioną konsekwencją propozycji oddania młodzieży do rozporządzenia „Narodowego Rządu Ludowego", o którym lewica starszego społeczeństwa zakomunikowała lewicy akademickiej tylko tyle, że powstał, była zawarta we wniosku propozycja, aby wiece nie określały terminu, ani miejsca wstąpienia do wojska podległego temu rządowi, oraz aby wyznaczenie tego terminu i skierowanie młodzieży — po porozumieniu z Rządem Ludowym — do odpowiednich formacji powierzyły Akademickiemu Komitetowi Wykonawczemu.

Prawica akademicka, t. j. Zjednoczenie Narodowe Młodzieży, grupujące żywioły mniej lub więcej zbliżone pod względem poglądów do Demokracji Narodowej, nie chciała oczywiście wiązać sprawy wstępowania do wojska ze sprawą rządu lewicowego. Wobec tego zaś nie miała powodu odraczać terminu tego wstąpienia, które przecież w zasadzie cała młodzież— zarówno na prawicy, jak i na lewicy — uważała za rzecz paląco pilną. Ponadto zaś prawica musiała być przeciwna wyposażeniu Akademickiego Komitetu Wykonawczego w jakiekolwiek funkcje poza informacyjnymi, gdyż w przeciwnym razie Komitet ten mógłby się stać narzędziem, za którego pomocą rozporządzająca większością lewica zdołałaby skierować zapał wojskowy młodzieży w pożądanym dla siebie kierunku politycznym. To też wnioskowi pięciu organizacji Zjednoczenie Narodowe Młodzieży przeciwstawiło wniosek własny, do którego przyłączyła się Młodzież Narodowo - Radykalna, zbliżona do Narodowego Związku Robotniczego. Wniosek ten w postaci przedstawionej po tym na wiecu uniwersyteckim, brzmiał następująco:

„1. Rada Regencyjna winna natychmiast ustąpić, przelewając swą władzę w ręce Narodowego Rządu Ludowego. 2. Cała młodzież akademicka winna natychmiast wstąpić do armii polskiej. 3. Działalność Uniwersytetu winna ulec zawieszeniu. 4. W celu ułatwienia praktycznego wykonania uchwał wiecu, a w szczególności porozumienia się z Senatem Akademickim, utworzyć Komitet Wykonawczy o charakterze informacyjnym".

Konferencja Ogólno - Akademicka składała się z przedstawicieli polskich ideowych organizacji młodzieży, przy czym każda organizacja miała w niej tyle głosów, w ilu uczelniach posiadała własne koła uczelniane. Trzy organizacje lewicowe — Młodzieży Narodowej, Zarzewiackiej i Filareckiej—rozporządzały połową głosów na Konferencji, wespół zaś ze sprzymierzonymi dwiema centrowymi miały większość. Uchwalono zwołać wiece uczelniane na dzień następny, 6 listopada, po południu, pozostawiając stronom — wobec niedojścia na Konferencji do porozumienia — prawo stawiania swoich wniosków.

Wiece były tym razem niezwykle liczne. Nie tylko ze względu na obchodzący wszystkich do żywego przedmiot obrad, lecz również z powodu niebywałego dotąd wzrostu liczby akademików. Od czasu otwarcia Uniwersytetu i Politechniki polskiej w Warszawie w listopadzie 1915 r. ogólna liczba słuchaczy tych uczelni oraz Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i Wyższej Szkoły Handlowej w stolicy, wynosząca w pierwszym roku przeszło 2.000, powiększyła się w roku 1916/17 o 60%, r. 1917/18 o 20%, jesienią zaś 1918 r. wzrosła odrazu w dwójnasób: z przeszło 3.900 do około 8.000. Uniwersytet liczył teraz okrągło 4.550 studentów, Politechnika 2.600, S. G. G. W. 475, W. S. H. 375. Lwią część tego ogromnego przyrostu stanowiła młodzież chrześcijańska, przeszło w 99% polska, która wzrosła z 2.500 do 5.900, podczas gdy studenci wyznania mojżeszowego z przeszło 1.400 wzrośli tylko do 2.100, czyli spadli z 36,5% na przeszło 26%.

Wiece zebrały się w nastroju zapału do wojska. Akademicy pierwszego semestru, nie wyrobieni w obradach, nie zżyci jeszcze między sobą, ani ze starszymi kolegami, nie mający za sobą tradycji życia organizacyjnego, przeważnie dalecy od organizacji ideowych, wolni od uznawania autorytetu ich programów i przywódców, przyczyniali się — dzięki swej stosunkowej liczebności — do tego, że wiecującej masie akademickiej, zwłaszcza na najliczniejszych wiecach uniwersytec-

kim i politechnicznym, udzielał się bardziej, niż kiedykolwiek przed tym, nastrój rozproszkowanego tłumu. Nie była to jednak główna przyczyna, dla której „lud akademicki", zgromadzony na wiecach, niechętnie słuchał politycznych — tym razem z konieczności zawiłych — wywodów swoich „augurów". Chciał on po prostu — wstąpić do wojska. Cztery lata trwała szarpanina ideowa, nieskończone spory o „orientacje". Cztery lata trwało denerwujące i deprawujące słabsze charaktery deklamowanie o wojsku, z ciągłym formułowaniem warunków, pod jakimi jest się gotowym do wojska wstąpić. Teraz nareszcie zjawiała się możliwość odrzucenia tego wszystkiego, wyzwolenia się z wątpliwości, zadokumentowania patriotyzmu czynem: włożenia munduru i — słuchania, nareszcie słuchania „na baczność", ze spokojem, że kto inny — zwierzchność wojskowa — ponosi odpowiedzialność za to, co ma być z rozkazu wykonane. Ten wzgląd czysto psychiczny zrozumiały był aż nadto u młodzieży tego czasu. Ten wzgląd odegrał w postępowaniu wieców rolę niewątpliwie poważną — obok patriotycznego pragnienia jak najrychlejszego wstąpienia do wojska. d. n

MATERIAŁY I DOKUMENTY

Deklaracja ideowa

Nadzwyczajnego Zjazdu Delegatów Związku Legionistów i Związku Peowiaków Województw południowo-wschodnich, uchwalona dn. 7.XI.37 r.

Zjazd Delegatów oznajmia, że organizacje Związku Legionistów i Związku Peowiaków województw lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego uchwalają uroczyście zacieśnić węzły braterstwa i ustanowić stałą swą współpracę dla dobra Państwa i Ziemi Czerwieńskiej. Zjazd zatwierdza utworzoną w tym celu z inicjatywy pana Generała Tokarzewskiego Radę legionowo - peowiacką we Lwowie i aprobuje skład osobowy Rady powołanej w dniu 13-go czerwca 1937 r.

Zjazd uchwala jednomyślnie następującą deklarację ideową:

I.

Jako żołnierze Józefa Piłsudskiego stajemy do apelu na wezwanie Jego następcy Marszałka Śmigłego - Rydza, który przemówił do nas dawnym żołnierskim językiem, jako do swych towarzyszy broni, na odprawie w dniu 30.X.1937 r.

II.

Zjazd Delegatów stwierdza, że ożywiona, swobodna i twórcza dyskusja, jaka się wywiązała z woli decydujących w Państwie czynników nad ustaleniem politycznych współczesnych drogowskazów ideowych Narodu Polskiego — jest dowodem wiary we własne społeczeństwo i nowym przykładem żywotności Polskiego Narodu, który pragnie sam rozstrzygnąć najważniejsze problemy Polski Współczesnej.

Dyskusja ta jest konieczna, ponieważ ułatwia ona kształtowanie się narodowego charakteru współczesnego polskiego pokolenia, drogą uczciwej i nieskrępowanej wymiany zapatrywań wszystkich grup Narodu.

Zjazd uważa, że rola Niepodległościowców nie kończy się na realizowaniu dokonanej już reformy ustroju Państwa Polskiego. Po uchwaleniu Konstytucji przypadły nam jeszcze obowiązki dopilnowania wykonania Testamentu Komendanta Józefa Piłsudskiego i wniesienia pozytywnych i nieegoistycznych wartości do tej dyskusji, aby ustalone w niej drogowskazy zadecydowały o losach Narodu, który musi wyplenić ze swego charakteru wszelkie przywary dawnej Polski szlacheckiej oraz wady, przyswojone od zaborców, jak również wykrzesać jednolite u wszystkich Polaków gorące przywiązanie do Państwa i dumę narodową.

III.

Zjazd stwierdza, że obóz Niepodległościowy nie tylko nie uchyla się od odpowiedzialności za pracę i od wynikających stąd obowiązków, ale czuje się dość silnym, by w razie potrzeby i bez pomocy innych — wyrobić i utrwalić żołnierskie cechy całego Narodu, który nieugięcie stać będzie na straży każdego kawałka ziemi, wywalczonej w walkach lat 1918 — 1920, przez naszą zwycięską Armię.

Nasz niezaborczy naród, żołnierski i rycerski, mając wypełnić ważną misję historyczną na Wschodzie Europy i odgrywając poważną rolę pokojową w Europie środkowej, wywiąże się tylko wtedy z wyznaczonych zadań, gdy pokolenie niepodległościowe nieustannie i usilnie pracować będzie nad urabianiem najwyższych cech narodowych i moralnych każdego bez wyjątku Polaka.

Nasza postawa narodowa i moralna, nasze szczere i rzetelne demokratyczne nastawienie i rozumnie pojęta duma narodowa, — wielka nasza kultura narodu Mickiewiczów, Słowackich, Chopinów, Śniadeckich, Hoene-Wrońskich i Piłsudskich, wreszcie i przede wszystkim nasza zwycięska Armia — w coraz większej mierze tworzą gwarancję naszej Niepodległości i pokoju Europy środkowej.

Cały bez wyjątku Naród Polski i wszystkie jego grupy i warstwy w roku 1920 spłaciły daninę krwi i życia na polu bohaterskiej walki o kulturę zachodnią. Powszechny żołnierski obowiązek tej ofiary krwi i życia, jaki ciąży na naszym i następnych pokoleniach polskich, nakreśla naszemu Narodowi normy urządzeń demokratycznych państwowych i społecznych. Tylko w demokratycznych warunkach możemy osiągnąć najwyższe napięcie moralnego i narodowego entuzjazmu każdego Polaka, tak w pracy pokojowej jak i w potrzebie wojennej.

Gwarancją więc niezależności naszego Państwa będą te cechy Polaka, które nie pozwolą żadnej jednostce zawieść w czasach trudnych i wymagających wiary i fanatyzmu narodowego.

Dlatego też my Niepodległościowcy zawsze jesteśmy i będziemy gotowi współpracować i współodpowiadać za Polskę z każdym innym kierunkiem politycznej myśli narodowej, o ile współdziałanie to zapewni pogłębienie i utrwalenie tych wartości tak niezbędnych dla życia Narodu naszego i Państwa.

IV.

Zjazd stwierdza, że rozwój gospodarczy i kulturalny Narodu i Państwa Polskiego jest jednym z podstawowych zagadnień chwili obecnej. Rozwój gospodarczy musi być dla każdego Polaka nakazem tym ważniejszym, a doświadczenia z okresu minionego tym cenniejsze, że musieliśmy odbudować, bez odszkodowań wojennych, kraj zupełnie zniszczony wojnami: światową, ukraińską i bolszewicką; że jeszcze nie mamy kolonij, a konieczny import towarów musimy pokrywać tak zwanym „głodowym" eksportem, gdyż nie posiadamy należycie rozwiniętego przemysłu, ani własnych kopalni złota. — Zjazd przypomina, że do dziś dnia płacimy za błędy poczynione przy zakupnie zagranicą sprzętu demobilu i za takie grzechy gospodarcze, jak Żyrardów i t. p.

Zdając sobie sprawę z gospodarczych zdobyczy lat ostatnich, nie zapominamy, że jeszcze daleko nam w Polsce do ideału „szklanych domów", — niemniej jednak jako Naród wielki przeciwstawić się musimy złośliwej krytyce defetystycznej i dlatego pod naporem naszych codziennych, bardzo przykrych trosk i kłopotów — nie możemy zapominać, że chwilowo jeszcze musimy znosić niedostatek dla naszych wielkich narodowych zadań, nakazujących nam tworzenie Gdyni, rozbudowę Centralnego Okręgu Przemysłowego, wykupna Wspólnoty Interesów i t. d.

Pragnąc przyśpieszyć proces demokratyzacji i rozwoju gospodarczego Polski — Zjazd wypowiada się za pełnią praw warstw pracujących: włościańskiej, robotniczej oraz inteligencji pracującej; — za zwalczaniem tego wszystkiego, co jest krzywdą i niesprawiedliwością społeczną, ale tylko w granicach dopuszczalnych, to znaczy z całkowitym wyeliminowaniem demagogii i bezpłodnej krytyki, która utrudniałaby ciężkie i odpowiedzialne prace konstrukcyjne Rządu Polskiego.

Zjazd stwierdza konieczność wykonania ustaw o reformie rolnej, w celu stworzenia drogą parcelacji zdrowych, opartych na samowystarczalności i niepodzielnych gospodarstw chłopskich.

W województwach wschodnich reforma rolna musi być wyrazem naszej ekspansji narodowej; przez osadzenie polskiego chłopa w zwartych, zorganizowanych gromadach na ziemi, odzyskanej potem i krwią żołnierza polskiego, ma się stworzyć wał ochronny Polski przeciw nawałnicom, idącym z moskiewskiego Wschodu.

V.

Zmierzając do wyzwolenia najbardziej twórczych sił Narodu Polskiego, a w szczególności sił, sprzyjających kulturalnemu rozwojowi polskiej wsi i warstw pracujących, — Zjazd uważa, że czysta, szczera i ludowa Prawda winna w Polsce zdobyć należne prawa, które zlikwidują kłamstwo egoizmów, pasożytnictwa i karjerowiczowstwo.

W imię tej Prawdy Zjazd popiera rozumny, a nie biurokratyczny i formalistyczny centralizm państwowy, domaga się jednak równocześnie rozszerzenia uprawnień władz lokalnych — podporządkowanych w swej działalności naczelnym wskazaniom interesu państwowego.

Wskazując na przedwojenny przykład Małopolski — Zjazd przypomina, że demokratyczne urządzenia administracji samorządowej stanowią najlepszą szkołę wychowania obywateli, a przez tę szkołę i w niej ułatwiają kształtowanie się silnego żołnierskiego charakteru Narodu.

W powszechności oświaty, a zwłaszcza w udostępnieniu wszystkim bez wyjątku korzystania z nauki w szkole powszechnej — Zjazd widzi najlepszą gwarancję zespolenia obywateli z Państwem i zapewnienia Państwu obronności. Na oświatę powszechną pieniądze muszą się znaleźć, musi się zapewnić bezpłatną naukę na wszystkich szczeblach nauczania, zwłaszcza dla dzieci i młodzieży chłopów i robotników.

Demokratyczne wychowanie na wszystkich szczeblach szkolnictwa zapewni i ułatwi wyrobie-

nie poczucia odpowiedzialności narodowej i odwagi cywilnej, umożliwi zwalczanie nadmiaru bezpłodnej krytyki, wreszcie stworzy warunki dla osiągnięcia zawsze twórczej sprawiedliwości społecznej w stosunku do szerokich warstw Narodu.

Zjazd podkreśla z całym naciskiem, że tylko narodowo uświadomione masy będą spełniać należycie swe obowiązki służby wojskowej i wojennej, — a od narodowej i demokratycznej sprawiedliwości, z jaką Państwo będzie się odnosić do tych mas, zależy stopień ich ofiarności i odporności w latach wojennych.

Zjazd stwierdza, iż warunkiem normalnego funkcjonowania Rzeczypospolitej jest istnienie zdrowego parlamentu, uznającego nadrzędny interes Państwa i odzwierciedlającego ideowe prądy Narodu oraz rzetelne interesy gospodarcze poszczególnych jego warstw. Urzędujący Sejm, wybrany na podstawie obowiązującej obecnie ordynacji nie jest takim odzwierciedleniem Narodu.— Dlatego Zjazd uważa, że sprawa uchwalenia nowej ordynacji wyborczej i przeprowadzenie na jej podstawie wyborów do ciał parlamentarnych dojrzała do decyzji.

Zjazd przeciwstawia się wszelkim próbom narzucenia Polsce ustroju totalnego, który jest zamaskowaną formą dyktatury i tyranii klasy rządzącej nad ogółem obywateli.

VI.

Zjazd domaga się przyspieszenia i ostatecznego ustalenia polityki wobec naszych mniejszości narodowych.

Pociągając wszystkich Polaków do wzmożonej pracy zawodowej, narodowej i społecznej, uświadamiając o obowiązku stałego dokształcania się zawodowego, — nie żądamy dla Narodu Polskiego specjalnych przywilejów, z wyjątkiem tych, które wynikają z naszej pracy i z obowiązków, jakie my, Polacy, spełnimy niezawodnie i bez zastrzeżeń w każdej potrzebie Państwa.

Dążąc do jednolitego Państwa narodowego, które będzie się automatycznie i samorzutnie wytwarzało w miarę postępu prac Narodu Polskiego, — Zjazd poczuwa się do obowiązku stwierdzenia, że wskrzeszony do niepodległego bytu Naród Polski potępił raz na zawsze politykę wynaradawiania przemocą mniejszości narodowych.

Platforma państwowa i pełna lojalność w stosunku do Narodu Polskiego i Jego kultury winny zapewnić każdemu obywatelowi naszego Państwa realizację jego osobistych pragnień, uzasadnionych osobistymi wartościami i wykazaną pracą dla Państwa.

Zjazd stwierdza, że Naród Polski odnosi się z szacunkiem i życzliwością do kultury, wierzeń i obyczajów mniejszości słowiańskich w Polsce, przeciwstawi się jednak całą mocą swej organizacji państwowej i społecznej wszelkim tendencjom separatystycznym i antypolskim.

Chcemy wierzyć, że Ukraińcy sami złamią wpływy obcych agentur w szeregach O. U. N. i że sami zlikwidują tę organizację, i tą swą postawą anty-O. U. N.-owską dadzą dowód swej lojalności wobec Państwa i Narodu Polskiego.

VII.

Zjazd z przykrością stwierdza, że wśród młodzieży akademickiej jest prawie zupełny brak w akademickich szeregach synów chłopskich i robotniczych, szkodliwy dla normalnej struktury narodu, co jest jedną z przyczyn rozwydrzenia tej części akademików, którzy swymi wystąpieniami przynoszą wstyd Narodowi.

Zjazd wzywa całą polską młodzież, aby budując swój własny światopogląd, przejęła się ideałami narodowemi i społecznemi, które ożywiały pokolenie niepodległościowe w okresie przed wielką wojną, a później przyświecały bojownikom o Niepodległość Polski w latach 1914 — 1920. — Wierzymy, że krew przelana przez żołnierzy Legionów i Wojska polskiego pod wodzą Józefa Piłsudskiego, — ofiara młodego życia poległych za Wolność Narodu, przemówi do serca i uczucia współczesnej młodzieży, która dzięki tej krwi i ofiarom poprzedniego pokolenia odzyskała najwyższe dobro człowieka — Niepodległy Byt Państwowy Narodu.

VIII.

Potępiając brutalne wystąpienia przeciw Żydom, Zjazd stwierdza, że rozwiązanie kwestii żydowskiej w Polsce nastąpi wtedy, gdy w sposób naturalny powstanie i wzmocni się polskie mieszczaństwo. To też Zjazd wypowiada się za przyspieszeniem rozbudowy polskiego handlu i rzemiosła, — od polskiego straganu do polskich fabryk, co równocześnie zlikwiduje, a conajmniej złagodzi bezrobocie wsi i miast.

Wobec przeludnienia naszych wsi i miast istnieje w Polsce i istnieć będzie jeszcze przez długie lata problem emigracji. Stwierdzamy uczciwie, że jeśli na skutek naszej struktury gospodarczej pewna część ludności musi szukać chleba za granicami kraju, to wolimy, aby emigrowali Żydzi, a nie polscy chłopi i polscy robotnicy.

Niezależnie jednak od rozwiązywania kwestii żydowskiej na drodze emigracji, uważamy, że wobec ludności żydowskiej tak samo jak wobec wszystkich lojalnych obywateli Państwa Polskiego winny być stosowane przepisy obowiązującej Konstytucji.

IX.

Pragniemy, jak w roku 1914, Polski uczciwie demokratycznej, w której każda jednostka pracą będzie zdobywała prawo do życia, a wiernością zasługiwała sobie na opiekę Państwa.

Zgodnie z tymi nakazami uważamy Obóz Zjednoczenia Narodowego za kartę jeszcze niezapisaną i dlatego zobowiązujemy się do zapisania tej karty żywą treścią zgodnie z naszym pojęciem miłości Ojczyzny i pracy dla Państwa, któremu chcemy służyć do ostatniego tchu naszego żołnierskiego żywota.

Zjazd wypowiada się zdecydowanie negatywnie w stosunku do metod pracy politycznej, stosowanych przez Związek Młodej Polski, metod pałki i bomby, obcych tradycjom żołniersko-legionowym i duchowi Narodu Polskiego.

Zjazd protestuje przeciw publikacjom Związku

Młodej Polski, które w swoiście pojętej „historiozofii" usiłują obniżyć wagę i zasługę naszego czynu żołnierskiego i przemycić rehabilitację w społeczeństwie ugodowej i sprzedawczykowskiej polityki Romana Dmowskiego i przedwojennej endecji.

X.

Zjazd wyraża głębokie ubolewanie z powodu przebiegu sprawy wawelskiej, która wykazała wysoce niepokojące i nie znajdujące należytego odporu w społeczeństwie tendencje niektórych kierowniczych sfer kleru w stosunku do Państwa Polskiego.

XI.

Zjazd wzywa całe polskie społeczeństwo do wytężonej kampanii antykomunistycznej, która winna wreszcie doprowadzić do likwidacji i tej obcej agentury.

*

Poza tym zjazd wysłał depesze i pisma do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, Pana Marszałka Śmigłego, Pani Marszałkowej Piłsudskiej, Pana Premiera Gen. Sławoj-Składkowskiego, Pana Półk. Adama Koca oraz Pana Min. Kościałkowskiego. Ze względu na polityczne znaczenie podajemy niżej tekst „Meldunku" wysłanego przez zjazd do Pana Marszałka Śmigłego:

„Legioniści i Peowiacy, zebrani na wspólnym Zjeździe we Lwowie, meldują posłusznie Panu Marszałkowi jako Naczelnemu Wodzowi, że wypełnią zawsze uczciwie i wiernie swój żołnierski obowiązek obrony Państwa i dźwigania Polski wzwyż.

Równocześnie przesyłamy w imieniu Zjazdu, uchwaloną w dniu dzisiejszym deklarację ideową, z gorącą prośbą o zaznajomienie się z jej treścią. Deklaracja jest wyrazem naszej głębokiej troski o Polskę, jest owocem naszej wspólnej pracy w dążeniu do takich sformułowań programowych, które łączyłyby nasze legionowe wczoraj z dniem dzisiejszym całego społeczeństwa, a szczególnie młodego pokolenia, we wspólnej służbie dla Polski. Dalecy od bezpłodnej krytyki, chcemy szczerze przedstawić Panu Marszałkowi i społeczeństwu nasze nastroje i nasze poglądy na aktualne zagadnienia życia polskiego i na to, co uważamy za złe lub szkodliwe w naszych stosunkach. Wierzymy, że Pan Marszałek wyprowadzi żołnierską dłonią Polskę z trudności, jakie powstały po śmierci Komendanta. W pracy tej pragniemy wziąć żywszy udział i przyłożyć nową legionowo-peowiacką cegiełkę do budowy potężnego gmachu Rzeczypospolitej.

Pozostajemy z posłusznym żołnierskim oddaniem i legionowym pozdrowieniem".

Na marginesie

DEKLARACJE

Przy całym donioslym znaczeniu deklaracyj rządów polskiego i niemieckiego w sprawie traktowania mniejszości nie należy tracić z oczu ich fragmentarycznego znaczenia w całości sprawy. Trzeba mieć również oczy otwarte nie tylko na wynikające dla nas z deklaracyj korzyści, ale i na pewne strony ujemne wytworzonej sytuacji.

Weźmy dla przykładu okoliczność następującą. W Polsce każda, a więc i niemiecka mniejszość chroniona jest przez konstytucję. Jeśli więc Polska składa deklarację, w której potwierdza swą chęć nie tamowania rozwoju mniejszości niemieckiej, to daje tym samym mniejszości niemieckiej podwójną, tego gwarancję. Natomiast mniejszość polska w Niemczech, nie chroniona żadną ustawą konstytucyjną, będzie miała tylko jedną gwarancję swobodnego rozwoju, tę zawartą w deklaracji rządu Rzeszy i w oświadczeniu Kanclerza Hitlera.

Uregulowanie polsko-niemieckich spraw mniejszościowych w takiej formie, w jakiej zostało dokonane 5 b. m., podkreśla fakt znacznie lepszego położenia ludności niemieckiej w Polsce niż polskiej w Niemczech. Mniejszość niemiecka ma dziś świadomość, że jeśliby nawet Rzesza nie stosowała w odniesieniu do mniejszości polskiej zasad wytyczonych w deklaracjach z 5 b. m., to rząd polski, chcąc zastosować zawartą w tych deklaracjach „zasadę wzajemności", byłby skrępowany postanowieniami konstytucji, w stosunku do mniejszości nadzwyczaj liberalnej. W przeciwieństwie do tego wiadomo, że rząd niemiecki nawet przy pełnej chęci stosowania zasad deklaracji z 5 b. m. nie zdejmie z mniejszości polskiej pęt, jakimi są dla jej rozwoju konsekwencje jej prawnego i ideologiczno-politycznego położenia w państwie. Uwidacznia się to np. w fakcie, że Pan Prezydent, udzielając audiencji przedstawicielom mniejszości niemieckiej, przyjął reprezentantów pełno-prawnego społeczeństwa niemieckiego,

przyjął senatorów Rzplitej. Mniejszość polska w Niemczech mogła być reprezentowana u głowy państwa tylko przez osoby prywatne. Kanclerz Hitler mógł w swym oświadczeniu przeciwstawić polskiej „Volksgruppe" niemiecki „Staatsvolk", jako jedyną grupę społeczeństwa stanowiącą żywą substancję państwa. Deklaracje z 5 b. m. można uznać tylko za pierwszy krok ku istotnemu polepszeniu położenia ludności polskiej w Niemczech. Istotne polepszenie mogłoby nastąpić jedynie w następstwie przyznania mniejszości polskiej w państwie narodowo-socjalistycznym realnych uprawnień politycznych. Jeśliby to okazało się niewykonalnym, to jedynym logicznym rozwiązaniem pozostałoby konstytucyjne ograniczenie praw politycznych mniejszości niemieckiej w Polsce. „Zasada wzajemności", jaka przyświeca deklaracjom mniejszościowym, tylko w takim znaczeniu miałaby rzeczywisty sens. Byłoby to jednak sprzeczne z duchem podpisanych deklaracji.

Omawiając polsko-niemieckie deklaracje mniejszościowe zmuszeni jesteśmy równocześnie poruszyć sprawy polsko-gdańskie. Rządy polski i niemiecki uznały za wskazane, aby w trakcie rozmowy ambasadora Lipskiego z Kanclerzem Hitlerem „stwierdzono, że stosunki polsko-niemieckie nie powinny być przez sprawę gdańską narażone na trudności". Co to znaczy „przez sprawę gdańską"? Czy przez sprawy wynikające ze stosunku Gdańska do Rzeszy, np. z jego dążenia zawartego w haśle „Zurück zum Reich", czy też przez sprawy wynikające z jego stosunku do Polski? Interpretacja jaką daje niemiecka półurzędowa „Diplomatisch-Politische Korrespondenz" (patrz „O nas u obcych") idzie w kierunku pierwszej z tych ewentualności. Zwrot użyty w komunikacie o rozmowie Lipski—Hitler jest niepokojąco dwuznaczny. W każdym razie poruszanie tej sprawy w komunikacie było zbędne. Można wprowdzie utrzymywać, że bezpośrednie stosunki dwóch państw zawsze mogą być narażone na trudności przez odrębne kompleksy zagadnień i państwa mogą chcieć wzajemnie to wyjaśnić. Jednak w takich wypadkach składa się oświadczenia tylko wtedy, kiedy chce się podkreślić na zewnątrz równorzędność zainteresowań obu państw w jakiejś sprawie, np. kolonialnej. Oświadczenie w sprawie Gdańska, zawarte w komunikacie z dn. 5 b. m. może wzbudzać pewien niepokój, że Gdańsk, jak Persja lub Chiny przedwojenne, został oficjalnie uznany za strefę skrzyżowania wpływów, w danym wypadku polskich i niemieckich.

KONGRES KUPIECTWA POLSKIEGO

Na łamach „Narodu i Państwa" nieraz już formułowaliśmy stosunek nasz do sprawy żydowskiej w Polsce. Charakteryzowaliśmy ją jako fragment całokształtu polskich problematów narodowych, fragment o istocie negatywnej, w przeciwieństwie do niezliczonej ilości zagadnień o istocie pozytywnej. Wychodząc z założenia tej właśnie istoty i roli sprawy żydowskiej w Polsce nadawaliśmy jej miejsce na marginesie zagadnień polskich podstawowej wagi.

Z zadowoleniem więc stwierdzamy, że podobne stanowisko w stosunku do kwestji żydowskiej zajął na terenie swych spraw zawodowych odbyty niedawno Ogólnopolski Kongres Kupiectwa Chrześcijańskiego. W ramach obrad kongresowych sprawa kupiectwa żydowskiego i stosunek do niej kupiectwa polskiego zajmował oczywiście ważne miejsce. Lecz bynajmniej nie miejsce czołowe. Sprawa ta wręcz nikła wobec ogromu pracy i myśli, jakie włożono w dyskusje nad innymi zagadnieniami. Temat „unarodowienie handlu w Polsce" rozwinięty był obok takich tematów podstawowych jak „struktura polskiego handlu", „struktura i zadania zrzeszeń zawodowych", „przygotowanie do zawodu obecnie czynnych w handlu", „przygotowanie nowych pokoleń do zawodu kupca", „nowoczesne metody pracy w handlu", „polityka kredytowa", „świadczenia publiczne" i szereg innych, niemniej ważnych i zasadniczych.

Kongres operował pojęciem „walki" kupiectwa polskiego z żydowskim. Polityczny posmak tego słowa nie powinien jednak wprowadzać w błąd. Chodziło Kongresowi o politycznie zabarwiony przejaw konkurencji, a więc zjawiska normalnego i zdrowego. Sytuacja, jaka wytwarza się obecnie, to znaczy istnienie ściśle politycznej presji, odciąganie moralnym czy fizycznym terorem od sklepów żydowskich, w normalnych warunkach społecznych nie da się w żadnym razie utrzymać. Miejsce presji, wywieranej przez bojowe czynniki antysemickie, będzie musiała zająć dominująca siła atrakcyjna kupiectwa polskiego, jako najlepiej obsługującego klienta. Obrady Kongresu dowiodły, że kupiectwo doskonale zdaje sobie z tego sprawę i czyni wszystko potrzebne, dla podciągnięcia w zwyż tej dziedziny życia polskiego.

Chwila obecna jest wyjątkowo sprzyjająca. Silny prąd antysemicki, nurtujący społeczeństwo, zwiększa frekwencję przed ladą kupca polskiego i zwiększa jego dochody. Powstaje w ten sposób w jego kasie pewna rezerwa, umożliwiająca nowe inwestycje. Bez nich proces ewolucji kupiectwa polskiego jest nie do pomyślenia. Zarówno powiększenie wyboru towarów (dziś u kupców polskich jest to paląca konieczność), jak usprawnienie aparatu ekspedycyjnego, czy też wychowanie syna dla kontynuowania zawodu ojca—wszystko to kwestia inwestycyj.

Wynika stąd pewna przestroga. Mianowicie kupiectwo polskie nie może odnosić się do pomyślnych warunków wytworzonych dlań obecnie z naruszeniem istniejącego porządku społecznego, jako do okresu koniunktury, pozwalającego odetchnąć pełnią zadowolenia po okresie silnych trosk minionego wielkiego kryzysu. Powstałe obecnie wyjątkowe warunki powinny stać się dla kupiectwa bodźcem do twardej, wytężonej pracy nad odrobieniem wieloletnich zaniedbań.

BOGACTWO IDEOWEGO ŻYCIA

Wiele się dzisiaj mówi o młodzieży. Do dyskusji tej chcielibyśmy dorzucić tutaj drobny przyczynek faktyczny, ilustrujący dwa momenty: 1. tendencje wychowawcze oficjalnych kół, odpowiadających za życie ideowe młodzieży akademickiej, 2. sposób ustosunkowania się do pewnych faktów, polegających na tym, że jeśli jakiś fakt nie odpowiada intencjom, najłatwiejszym wyjściem z sytuacji jest nie przyjęcie go do wiadomości.

Oto jak — według urzędowych danych — przedstawia się bogactwo życia ideowego młodzieży akademickiej na Uniwersytecie im. Józefa Piłsudskiego. Jest ono w wykazie stowarzyszeń akademickich Uniwersytetu uwidocznione w dziale oznaczonym literą V i noszącym miano „Organizacje ideowo-wychowawcze". Dział ten, przedrukowany w całości, wygląda jak następuje:

Sodalicja Mariańska Akademiczek, kurator ks. A. Borowski,

Stow. Katolickie Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie" przy UJP., kur. prof. Oskar Halecki,

Katolicka Młodzież Narodowa, kur. prof. W. Tatarkiewicz,

Sodalicja Mariańska Akademików UJP — kur. O. Halecki,

Stow. Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Juventus Christiana" — kur. prof. A. Tretiak,

Akademickie Stow. Charytatywne „Pomoc Bliźniemu pod wezwaniem św. Franciszka z Assyżu — kur. prof. A. Tretiak,

Katolickie Koło Abstynentów — kur. ks. W. Michalski.

Te siedem stowarzyszeń „ideowych" — to całość oficjalnego, dopuszczonego przez władze akademickie, życia ideowego młodzieży akademickiej na Uniwersytecie noszącym miano Józefa Piłsudskiego. Wszystko inne działa nielegalnie.

Komentarze zbyteczne. Nasuwa nam się tylko jedna uwaga. Przed laty stu kilkudziesięciu za najbardziej uwsteczniony na ziemiach dawnej Polski zakład naukowy o charakterze wyższym uchodziła Akademia oo. Jezuitów w Połocku. Nie sądzimy, by w tej Akademii mogła być pielęgnowana większa jednostronność życia „ideowego" słuchaczy, niżeli ta, która wynika z oficjalnych danych stworzonego przed dwudziestu dwu laty stołecznego „Uniwersytetu im. Józefa Piłsudskiego" w Warszawie.

MYŚLI

Prawdziwa wielkość jest tajemnicą.

Przez słowa: jedyność, niezastąpioność, nie wyjaśniamy, tylko dalej opisujemy wielkości. Wielki człowiek jest to taki, bez którego świat wydałby się nam niepełnym, gdyż pewne wielkie czyny były możliwe tylko przez niego, w jego czasie i otoczeniu i poza tym są nie do pomyślenia; jest on wpleciony w wielki łańcuch przyczyn i działań. Przysłowie powiada: „Żaden człowiek nie jest niezastąpiony". — Ale ci nieliczni, którzy są właśnie tacy, są wielcy.

Jedyny i niezastąpiony jest jednak tylko taki człowiek, wyposażony w niezwykłą myślową lub duchową siłę, którego działanie odnosi się do powszechności, t. zn. całych narodów lub kultur, nawet całej ludzkości... Przeznaczeniem wielkości zdaje się być, że przeprowadza ona wolę, która zależnie od punktu wyjścia, uznawana jest za wolę Boga, narodu, lub powszechności, za wolę epoki...

Nie każde czasy znajdują swego wielkiego człowieka i nie każda wielka zdolność znajduje swój czas. Być może żyją obecnie wielcy ludzie dla rzeczy nieistniejących... Co widzimy przed nami jest raczej ogólnym spłaszczeniem. Zjawienie się wielkich jednostek należałoby uznać za niemożliwe, gdyby nam przeczucie nie mówiło, że obecny kryzys wydostanie się kiedyś z terenu „posiadanie i nabywanie" na inny i że wówczas „ów właściwy" zjawi się z nocy na dzień, — po czym już wszystko pójdzie jedno za drugim.

*

Życie Zachodu jest walką. Nie potrzebujemy tego pragnąć, gdyż to już istnieje. Czy się tym cieszymy, czy skarżymy na to, to jest Europa jako stare i nowe ognisko różnorodnego życia, jako miejsce powstawania najbogatszych ukształtowań, jako ojczyzna wszystkich przeciwności, które w tej niezwyklej jednostce się roztapiają.

Jest europejskie: wypowiedzenie się wszystkich sił, w pomniku, obrazie i słowie, instytucji i partii, aż do jednostki. Przeżycie duchowości w każdym kierunku i w każdej stronie. Dążenie ducha do pozostawienia wieści o wszystkim co w nim jest, a nie milczące oddanie się monarchiom i teokracjom, jak na Wschodzie. Z wysokiego i odległego punktu widzenia, jakim winno być stanowisko historyka, dzwony pięknie współbrzmiewają, niezależnie od tego, czy w bliskości tworzą harmonię czy dysharmonię: Discordia concors.

Zabójcze było dla Europy zawsze jedno: przygniatająca mechaniczna moc, niezależnie od tego czy pochodziła ona od zdobywczego ludu barbarzyńców, czy od skupionych miejscowych środków przemocy, znajdujących się w służbie jednej tendencji, naprzykład dzisiejszych mas.

Jest to czysto europejska sprawa: przeciwko jednostronnej nadwładzy jednostki podnoszą się wszyscy pozostali. Europa chce pozostać różnorodna.

Jakób Burckhadt (1818—1897).

FELIETON TEATRALNY

Jadzia-Wdowa i don Pedro Calderon de la Barca

Zestawienie pozornie groteskowe i nie mające w sobie nic prócz groteski. Tak jednak nie jest. Zestawienie to uzyskuje pewien sens z punktu widzenia stosunku znacznej części naszej krytyki teatralnej do obu przedstawień, stosunku, któremu można by nadać słusznie miano swoistej „zdrady clerców", gdyby — oczywiście — samo pojęcie clerców w odniesieniu do niektórych przedstawicieli naszej krytyki teatralnej nie było przesadą.

Najprzód o temacie błahym — o Jadzi - Wdowie. Rzeczą niewątpliwie ujemną było, że przed szeregiem lat, w teatrze o wielkich aspiracjach i najlepszej tradycji dramatycznej, położonym przy ulicy, a raczej zaułku, któremu nadano nazwę Juliusza Słowackiego tylko chyba ze względu na szczytne aspiracje położonego przy nim teatru — zagościła, najprzód chyłkiem, potem coraz śmielej, muza lekka, bardzo lekka, o charakterze już nawet nie farsowym, lecz raczej kabaretowym.

Zjawisko to było ujemne. Nie dlatego, byśmy byli skłonni do wyolbrzymiania właściwych jednemu z krajowych wyznań obaw o „stryltenie" gmachu, lecz dlatego, że w przeszło milionowym mieście ani jeden teatr nie może na stałe utrzymać linii wartościowego repertuaru.

To ujemne zjawisko dokonało się przed kilku laty. Odtąd powtarza się stale, przynajmniej w sezonie letnim. W roku bieżącym wyraziło się w wejściu na repertuar teatru naiwnej sztuczki z przed lat czterdziestu, przystosowanej bardzo zręcznie do dzisiejszych, powiedzmy, kabaretowych gustów, w sumie dającej widowisko żywe i wesołe, bez poważniejszego znaczenia i poważniejszych pretensji.

Sztuczka została przyjęta przez krytykę dość przychylnie i miała wszelkie warunki normalnego dużego powodzenia, jako przedstawienie o typie kabaretowym. Po tygodniu, czy dwóch, zaczęły jednak padać gromy. Te same pisma, które początkowo pisały o sztuce w tonie cieplawym, uderzyły na alarm, coraz to potężniejący. Nagromadzone chmury zaczęły się wyładowywać już nie tylko w dziale recenzji teatralnej, lecz w artykułach wstępnych. Sztuka zrobiła najwyższą karierę, jaka może być udziałem kabaretu — stała się zagadnieniem. I to jakim zagadnieniem! — Czego nie poruszano w dyskusji? — I intrygę żydowską, i rozkład naszej cywilizacji, i zachydzanie dworów szlacheckich, i podważanie podstaw moralnych. Wszystko z powodu kilku dowcipów, czy piosenek, przeważnie zresztą nie nowych. I gdyby chociaż jeszcze robiono to inteligentnie. Lecz nie — i o to niezbyt dbano. Najpoważniejszy argument, ten, że nieboszczyk Fredro, wyśmiewający przywary szlacheckiego społeczeństwa, czynił to z sercem i bez złośliwości, jest podwójnie niebezpieczny. Wystawione ostatnio „Dożywocie" może pod pewien znak zapytania postawić ten brak złośliwości. Zaś z punktu widzenia wychowawczego i społecznego kto wie, czy nadmiernie serdeczny stosunek do zjawisk o charakterze ujemnym — a przecież w takie zjawiska obfituje nawet tak „serdeczna" komedia jak „Zemsta" — nie jest bardziej niebezpieczny, niżeli stosunek o wyraźniejszej linii satyrycznej.

Lecz na ten temat nie chcemy przedłużać dyskusji. Faktem jest, że w polemice na temat kabaretowej komedyjki, starano się wziąć ton najwyższy, choć mniej już dołożono wysiłku, by w polemice tej osiągnąć poziom — chociażby średni. A rezultaty?— Oczywiste! — Po krótkim okresie alarmowania, że Tuwim z polecenia ośrodków masońskich rozkłada w Teatrze Polskim moralność narodową — zaszło od dawna już niespotykane w Warszawie zjawisko, to jest, że Teatr Polski przez dłuższy czas miewał salę wyprzedaną już w przeddzień przedstawienia. Dziwić się nie można. Najbardziej rodowici sarmaci lubią czasem spojrzeć osobiście, jak ktoś bezceremonialnie obchodzi się z moralnością. W danym wypadku niejedni się napewno zawiedli. Najdrastyczniejszy dwuznacznik, który zresztą stał się punktem szczególnej dyskusji prasowej, odnosił się do sfery pojęć, wywołującej zainteresowanie i bawiącej raczej drugo — niżeli siódmoklasistów. W każdym razie największy sukces sezonu stał się nie tylko faktem, lecz bodajże i zachętą do naśladownictwa.

*

Przejdźmy teraz do drugiej części tematu — do Calderona. Gdy jeszcze po paru miesiącach wciąż się toczyła dyskusja na temat Jadzi-Wdowy, drugi z naszych teatrów dramatycznych rozpoczął sezon teatralny wystawieniem calderonowskiego dramatu — Życie Snem. I otóż zjawisko niezmiernie charakterystyczne. Ta sama prasa, która tyle uwagi poświęciła kabaretowej komedyjce, przyczyniając się, między innymi, do jej wyjątkowego sukcesu — tutaj nie starała się już o wzięcie wysokiego tonu. Rzadko się zdarza tak chłodne, zdawkowo-niechętne przyjęcie, jak to, które było udziałem sztuki Calderona. Drobne złośliwości, natrząsania się z wystawienia, z przekładu, wreszcie ze sztuki samej — oto dominujący ton w stosunku prasy stołecznej do sposobu rozpoczęcia sezonu przez Teatr Narodowy. W rezultacie, po tygodniu sztuka zeszła z afisza, przez nikogo nie żałowana, przez publiczność nie oglądana. Pozostało wrażenie jakiejś przykrej omyłki ze strony dyrekcji Teatru. Nieliczni, w tej liczbie jeden z najmłodszych sposobem odczuwania poezji, od wielu lat siwobrody prof. Tadeusz Zieliński, próbowali zgłosić pewnego rodzaju votum separatum, próbowali przytoczyć przynajmniej okoliczności łagodzące dla Teatru, tłumacza i autora.

Jesteśmy pismem społeczno - politycznym, w drobnym tylko stopniu poświęcającym uwagę sprawom literatury czy sztuki. Autor tych słów nie ma pretensji do fachowości zawodowego recenzenta. To też — nie podzielając krytycyzmu — nie będziemy kładli nacisku na stronę czysto sceniczną przedstawienia. Zresztą jest to strona najbardziej subjektywna, zostawiająca najwięcej miejsca dla niesprawdzalnych sądów i ocen. Zajmiemy się natomiast dwoma pozostałymi punktami — sprawą tłumaczenia i utworu.

Osądzenie jakości przekładu utworu poetyckiego, a więc jakości poetyckiego słowa, nie jest bynajmniej częścią jakiejś wiedzy hermetycznej, dostępnej tylko garści wybranych. Otóż — można to chyba podkreślić z całym zdecydowaniem — sala reagowała na wiersz przekładu bardzo pozytywnie. Jeśli istotnie wyrazem najwyższej kartery poetyckiego słowa jest to, by mogło ono pozostać w pamięci „medalem przysłowia" — to przekład Boye'go uderza siłą, zwartością, aforystycznością słowa, jak również wielką poprawnością poetyckiej formy. Tymczasem, według sądów sporej części krytyków, przekład ten miał być jedną z przyczyn niepowodzenia eksperymentu. Ba, nie brak było głębokich fachowców, wyrażających żale, że wybrano ten przekład, a nie dawny przekład Szujskiego. Doprawdy, można by mniemać, że studia naszych krytyków teatralnych, zwłaszcza tych mniej poważnych, są bardzo głębokie, gdyby nie fakt, że o przekładzie Szujskiego mówi w ogólnikowy sposób wydawnictwo, służące za program teatralny i nabywane przy wejściu za groszy 50. Czyż to westchnienie do tłumaczenia Szujskiego nie jest wypadkiem tylko wynikiem tej wzmianki?

Lecz nie tylko teatr i tłumacz, lecz i sam utwór nie zdobył sobie uznania przeważającej części naszych krytyków. Z dużą zbieżnością sądu powtarzany był motyw pewnego żalu, że z pośród dramatów Calderona wybrany był jeden ze słabszych i bardziej mętnych, że popełniono tutaj błąd, kierując się fałszywym snobizmem, podyktowanym przez zewnętrzny i pozorny związek utworu z Polską. I znowu nasuwało się pytanie, czy istotnie każdy z tych żalących się na zły wybór recenzentów tak dokładnie przestudiował Calderona, że gotów byłby w każdej chwili wyliczyć wszystkie te utwory, które—jego zdaniem—powinny być wystawione na scenie warszawskiej, zamiast niefortunnie i dla nieistotnych względów zakwalifikowanego dramatu o złych skłonnościach królewicza Zygmunta.

Na to pytanie przeważnie nie było odpowiedzi. Konkretnie bowiem wysuwano właściwie jeden tytuł, to jest, że zamiast wystawiać Życie Snem, lepiej było wznowić Księcia Niezłomnego. Wszystko dla tego, by uniknąć kompromitacji.

W rezultacie opinia publiczna nie mogła mieć innego wrażenia, jak tylko, że próba wypadła całkowicie i pod każdym względem ujemnie. Skutki — jak wyżej — po paru przedstawieniach sztuka zeszła z afisza.

Piszący te słowa miał szczęście, że z racji święta narodowego 11 listopada, kiedy dla podtrzymania ducha w narodzie trzeba grać sztuki patriotyczne, albo przynajmniej nieposzlakowane moralnie, wznowiono na jeden wieczór sztukę Calderona. Pierwsze wrażenie: żywa reakcja sali, inna zupełnie, niżeli reakcja krytyki oficjalnej. Następne: rosnąca refleksja, że przecież w tej sztuce są te same „pioruny poezji," o których pisał do Matki Juliusz Słowacki, że mu przy tłumaczeniu „Księcia Niezłomnego" łamały „kości wewnętrzne". Wreszcie: przekonanie, że „pioruny" te naogół nie zostały przez tłumacza osłabione, ni rozładowane.

W sumie refleksja ogólna: w stosunku do sztuki Calderona został przez dużą część naszej krytyki popełniony mord, o charakterze wcale nie teatralnym. Zabito wszelkie możliwości sztuki, która z charakteru swego musi mieć oparcie o zdolniejszą do rozumienia poezji część społeczeństwa, zachęconą i ośmieloną przez fachową krytykę, która w podobnych wypadkach ma szczególnie wdzięczne zadanie. Oczywiście bowiem można niemieć poczucia poezji i być porządnym człowiekiem. Lecz pocóż w takim wypadku być właśnie krytykiem sztuk, których wartość leży w poezji?

Dysproporcja pomiędzy sugestiami krytyki i wrażeniami własnymi była szczególnie silna. Nie dowierzałem wrażeniom. Szukałem potwierdzenia. Znalazłem je w rozmowie z przygodnie spotkanymi znajomymi: „Sztuka porywająca, przekład doskonały, wystawienie staranne". To samo uczucie zdziwienia: skąd w krytyce tak znacznej części prasy ton pobłażliwej wyrozumiałości, żale, że wystawiono nie inny, lecz właśnie ten, jeden ze „słabszych", czy „mętniejszych", dramatów Calderona.

Szukałem dalszego rozwiązania zagadki. Między innymi, spróbowałem zajrzeć do innego rodzaju „fachowych" oświetleń: do historyków literatury, by sprawdzić jakie — ich zdaniem — miejsce w twórczości Calderona zajmuje „La vida es sueno", która tak się nie podobała krytykom warszawskim. W drugim tomie „Wielkiej Literatury Powszechnej" wydania Trzaski i Michalskiego, w rozprawie o „Literaturze Hiszpańskiej", pióra Józefa Dzierżykraj - Morawskiego, nie znalazłem wprawdzie schematycznego podziału na utwory pierwszej, drugiej i trzeciej kategorji, znalazłem natomiast szereg wypowiedzi na temat sztuki, która w Warszawie „nie nadawała się na premierę" i miała być jednym z etapów niefortunnego szukania repertuaru.

Z wypowiedzi tych przytoczę niektóre:

„Nawet w największych jego (Calderona — przyp. red.) arcydziełach, jak „La vida es sueno" nie brak plagiatów. Pod tym względem jest on typowym epigonem szkoły Lopego" (str. 828).

„Największą dla nas wartość mają dramaty „ideowe", których artyzm formy łączy się z głęboką ideą, filozoficzną, lub religijną. Niektóre z nich, jak „La wida es sueno", „El Magice progioso", „El Principe constante", „El Alcade de Zalamea", należą do najpiękniejszych arcydzieł teatru hiszpańskiego. Zapewne Calderon nie był pierwszym, któremu życie wydało się snem. Myśl ta przewija się, jak nić czerwona, przez dzieła mistyków, ascetów, kaznodziejów ówczesnych... Ale dramat ten jest tak potężny, tyle w nim piękności poetyckich, że dopiero on

myśl ową uwiekopomnił". (str. 830/831).

„Jest on (znów Calderon) bezsprzecznie największym „monologistą" wśród dramaturgów hiszpańskich... Monologi takie, istne mikrokosmy w dramatycznym makrokosmosie, tworzą nieraz punkt kulminacyjny nie tylko akcji, ale i kunsztu poetyckiego Calderona. Do najpiękniejszych należą monologi Zygmunta w „La vida es sueno"... str. 831).

I tak dalej. W każdym wypadku, gdzie mowa o arcydziełach dramatycznych Calderona, „La vida es sueno" wymieniona jest na miejscu pierwszym i najbardziej honorowym. Czytelnika większości gazet warszawskich pozostaje tylko zapewnić, że „La vida es sueno" znaczy istotnie „Życie Snem" i jest tym samym dramatem, który w Warszawie został uznany za niefortunne rozpoczęcie teatralnego sezonu.

Należy reasumować. Wnioski narzucają się same. Tego rodzaju stosunek krytyki teatralnej do recenzowanych utworów, jaki zademonstrowano przy okazji próby wystawienia w Warszawie sztuki Calderona, musi zabijać ambicje tworzenia, czy powracania do istotnie wielkiego repertuaru. Nie można liczyć, by publiczność sama przełamała nie tylko pewne naturalne trudności swego stosunku do romantycznego teatru z przed lat bezmała trzystu, lecz jeszcze i pierwszą linię oporu, w postaci krytyki, nieżyczliwej, niezdolnej do ułatwienia jej kontaktu z tym naprawdę wielkim repertuarem.

Przyczyny nieżyczliwości i chłodu krytyki? — Niezdolność odczuwania poezji? — Niewątpliwie, jedna z przyczyn najbardziej zasadniczych. Lecz są chyba i inne. Trudno się oprzeć wrażeniu, że w niektórych przynajmniej pismach na stosunku do Calderona zaciążył w pewnym stopniu stosunek do Kadena, że w innych znów o chłodnym przyjęciu utworu najbardziej bodaj katolickiego z wszystkich dramaturgów świata, bliskiego kanonizacji, zdecydował fakt, że tłumacz jego zbliżony jest do grupy „Wiadomości Literackich".

Lecz nad tą sprawą nie mamy zamiaru się zatrzymywać. Istotą zagadnienia pozostaje fakt, wspomniany na wstępie, że gdyby ktoś całość naszego życia teatralnego ostatniego okresu, chciał widzieć po przez soczewkę naszej krytyki teatralnej, naszej prasy stołecznej, musiałby stwierdzić, że zaszły ostatnie dwa fakty: jeden o zasadniczym znaczeniu — to wystawienie przeróbki Tuwima ze sztuki Ruszkowskiego, drugi o charakterze nieudanego i w założeniu niefortunnego eksperymentu — to wystawienie sztuki Calderona.

I w tym świetle zestawienie uwidocznione w tytule niniejszego felietonu staje się czymś więcej, niżeli tylko groteską bez głębszego znaczenia.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Przewrót brazylijski

(z. d.) Dokonany ostatnio w Brazylii — oryginalny, bo przez konstytucyjnego prezydenta Republiki — zamach stanu, daje okazję do pewnych komentarzy na temat życia politycznego tego największego państwa łacińsko-amerykańskiego. W N-rze 42 „N. i P." z ubiegłego roku zamieściliśmy obszerny artykuł na temat politycznych i ideowych zagadnień brazylijskich, teraz więc tylko powtórzymy ich cechy zasadnicze, związane z ostatnim przewrotem.

Brazylja — to kraj, którego kultura intelektualna nawet częściowo nie wyrosła z własnej ziemi, kraj bez własnego oblicza kulturalnego i własnej idei społeczno-politycznej. W takich warunkach staje się Brazylia łatwym terenem inwazji idei obcych. Oliveira Vianna, wybitny antropo-socjolog brazylijski, komentuje w następujących słowach wpływy cudzoziemskich procesów społeczno - politycznych na kształtowanie się ruchów ideowych w Brazylii: „Wszystkie tak zwane kierunki opinji, jak i wszystkie nieprzewidziane rewolucje, które się u nas uformowały, zawsze wyrażają aspiracje i pretensje innych ras, bez kiła tradycji narodowych brazylijskich, bez najmniejszego śladu poczucia rzeczywistości."

„W swoich formach i dążeniach stają się zaledwie odbiciem form i dążeń rewolucyjnych innych narodów. Nic w nich nie ma narodowego i brazylijskiego. Żadnej wzniosłej pobudki, jaką by było zaspokojenie wielkiej potrzeby społecznej. Żadnej własnej aspiracji, która by szukała źródeł swej żywotności w podświadomości cech narodowych. Twory filozofów, doktrynerów i literatów, których duchowa formacja nie powstała pod wpływem środowiska krajowego. Rewolucje te dzięki swemu charakterowi posiadają pole działania ograniczone do wysokich dziedzin słowa i myśli: katedr akademij, kolumn dziennikarskich, stron publicystyki, trybun odczytowych, wymowy wielkich mówców, rymów wielkich poetów — wszystkich oświeconych światłem idei wypracowanych w środowiskach odrębnych od naszego... Od stulecia żyjemy jak palacze opium w świecie snów i fikcyj... Wielki ruch demokratyczny rewolucji francuskiej, angielskie niepokoje parlamentarne, liberalny duch instytucyj kierujących Republiką północno-amerykańską, — wszystko to wywarło na naszych statystów, prawodawców i polityków wpływ magnetyczny, który ich całkowicie oślepia wobec rzeczywistości naszych zagadnień narodowych".

Od napisania tych słów — rok 1918 —po dziś dzień nowe fenomeny polityczne cudzoziemskie wywarły wpływ magnetyczny na brazylijskich polityków. W latach 1930—35 rozwinął się w szerokich kołach intelektualnych i wojskowych komunizm. Doprowadził on nawet do krwawego puczu (listopad 1935). Teraz znów — dokonano przewrotu pod hasłem ustroju korporacyjnego, czyli faszyzmu. Brazylia, kraj bez własnej idei, przechodzi wieczną mękę polityczno - duchowego niewolnika.

Pomijając czynnik i składnik ideologiczny dokonanego ostatnio zamachu stanu, odnajdujemy w nim ostatni etap walki prezydenta Vargasa o władzę absolutną i dożywotnią. W roku 1930 rewolucja — wychodząca ze stanu Rio Grande do Sul — stawia skromnego tamtejszego adwokata na widowni politycznej w roli szefa „rządu tymczasowego". Okres tymczasowości trwa cztery lata. W roku 1933 dokonywują się wybory do zgromadzenia konstytucyjnego, a w lipcu 1934 uchwalona zostaje nowa konstytucja, demokratyczna, lecz rozwijająca niepomiernie atrybucje władzy centralnej, czyli rządu federalnego Stanów brazylijskich. Vargas zostaje obrany konstytucyjnym prezydentem. Po upływie czterech lat — z początkiem roku 1938 — mają się odbyć wybory nowego prezydenta. Szanse reelekcji Vargasa są słabe—ale istnieją wzory obce, istnieje „krucjata antykomunistyczna" w Europie i istotne niebezpieczeństwo komunistyczne w Brazylii. Rezultat prosty: nie ma innego „wyjścia" — jak dla ratowania Brazylii wprowadzić ustrój totalny i dotychczasowego prezydenta obwołać dożywotnim dyktatorem. Myśl ta podobała się kilku wpływowym w armii generałom. Dzięki temu otwiera się nowa karta historii Brazylii. Treść, jaką zostanie zapisana, nie będzie pewnie różniła się wiele od treści kart poprzednich.

Antypokojowe trójporozumienie

(z. d.) Fakt przekształcenia osi Berlin — Rzym w trójkąt Berlin—Rzym—Tokio można oceniać dając wiarę oficjalnym komentarzom, ogłoszonym w tych trzech stolicach, lub negując nominalny cel „trójporozumienia antykomunistycznego".

Jeśli uwierzymy w nominalną intencję twórców frontu „antykominternowskiego", to zanotujemy wzrost nasilenia bojowo-ideologicznych nastrojów w polityce międzynarodowej. Stwierdzimy fakt ostatecznego ukonstytuowania się IV Międzynarodówki czyli „faszinternu". Powstanie również przypuszczenie, że jak III Międzynarodówka stara się wywrócić porządek polityczny świata przez agitację komunistyczną, tak IV Międzynarodówka zamierza wprowadzać niepokój do życia narodów przez głoszenie hasła walki z komunizmem. Walka ta, prowadzona pod impulsem obcych haseł, będzie oczywiście w każdym państwie politycznie i narodowo destrukcyjna.

Jednym słowem, może się wydać, że Niemcy, Włochy i Japonia, pragnące żerować na kryzysach wewnętrznych, starają się zaognić stosunki wewnętrzne w innych państwach. Dość obserwować efekty, jakie hasła pochodzące z Berlina wywołują w Polsce, aby zrozumieć grę niemiecko - włosko - japońską. Jeśli więc trójporozumienie antykomunistyczne powstało nawet tylko w celach walki ideologicznej, to pośrednio wyda efekty mocarstwowe, korzystne dla twórców „trójkąta": zaogniając w innych państwach walki wewnętrzne wzmocni ono proporcjonalnie pozycję mocarstwową Niemiec, Włoch i Japonii.

Można traktować trójporozumienie antykomunistyczne jako manewr polityki mocarstwowej trzech państw „dynamicznych", manewr nie mający bynajmniej na celu osiągnięć ideologicznych, tylko realno-polityczne. W takim razie należy przypomnieć sobie, że istnienie osi Berlin — Rzym ujawniono (22.X.1936) dopiero, kiedy z jednej strony odezwały się we Francji i Anglii głosy zapowiadające politykę zagraniczną silnej ręki, a z drugiej, gdy się okazało, że zwycięstwo gen. Franco nie jest pewne. Jedno i drugie stwarzało dla Włoch i Niemiec poważne niebezpieczeństwa zewnętrzne, skąd powstała potrzeba zamanifestowania światu siły, wynikającej z połączenia się tych mocarstw. Dziś sytuacja jest podobna. Gen. Franco zwycięża, ale jest już jasne, że z tego zwycięstwa nie wynika, aby Hiszpania stała się atutem w rękach Włoch i Niemiec. Nie jest nawet wykluczone, że Hiszpania gen. Franco, zbudowana m. in. wysiłkiem włoskich ochotników, stanie się ostatecznie atutem w rękach Anglii w grze politycznej z Włochami. Los miewa czasami napady niebywałej złośliwości! Odbywa się również proces zbliżania się Stanów Zjednoczonych do Anglii i Francji. Chamberlain, przemawiając 9 listopada w Guildhall w Londynie, określił udział Stanów w konferencji brukselskiej jako „pierwszy, krańcowo ważny krok ku realizacji pragnienia wyrażonego przez prezydenta Roosevelta w Chicago, to znaczy ku realizacji wspólnego wysiłku narodów miłujących pokój, celem restytuowania traktatom ich świętego charakteru i dla zapewnienia pokojowego załatwiania konfliktów". Tego rodzaju kroki są oczywiście nad wyraz groźne dla państw „dynamicznych", których koncepcje opierają się na łamaniu istniejących zobowiązań. Nic więc dziwnego, że państwa te jednoczą się celem okazania siły. Chcą pokazać, że są dość silne, aby nie dać się okiełznać w swym dynamizmie. Jednym słowem: manifestują gotowość i możność mącenia pokoju świata.

Komisja XI Krzyża i Medalu Niepodległości (przy Związku Seniorów b. Organizacji Młodzieży Narodowej, przy ul. Nowy Świat 21 m. 4, Warszawa) zawiadamia, że będzie przyjmować wnioski o odznaczenie tylko do 1 grudnia r. b.

O NAS U OBCYCH

O deklaracji mniejszościowej

Ogłoszone w dniu 5.XI b. r. przez rządy polski i niemiecki deklaracje w sprawach mniejszościowych zostały po stronie niemieckiej omówione i przeanalizowane przez wszystkie czołowe organy prasowe.

Półoficjalna *„Deutsche Diplomatisch-Politische Korrespondenz"*, wyrażająca poglądy ministerstwa spraw zagranicznych Rzeszy, ogłosiła w związku z tym jeszcze w dniu 5.XI następujące uwagi:

„W wyniku podpisanej w dniu 24.I 1934 r. ugody polsko-niemieckiej rządy niemiecki i polski zobowiązały się na przyszłość porozumiewać się bezpośrednio we wszystkich kwestiach, dotyczących wzajemnych stosunków, jakiegokolwiek by rodzaju one były. Przy różnorodności stosunków i problemów, wynikających z sąsiedztwa obu narodów, było jasnym, że mimo istnienia po obu stronach pełnej gotowości do zwalczenia różnych trudności zawsze jeszcze wyrosną czy pojawią się kwestie, czekające na praktyczne rozwiązanie.

Między Polską a Niemcami nie ma granic państwowych, które pokrywały by się z granicami etnicznymi. Z wynikającego stąd obustronnego zazębienia się spraw narodowościowych zrodzić się musiały siłą rzeczy problemy, które — jeżeli wziąć pod uwagę warunki terenowe — mogły doprowadzić do różnego rodzaju tarć i trudności, i które — ze względu na uświadomienie i silnie wyrobione poczucie narodowe krajów macierzystych — z pewnością odbiłyby się ujemnie na dziele porozumienia. Przy sposobności wypada podkreślić, że deklaracja niemiecka, nabierająca szczególnie uroczystego charakteru ze względu na przyjęcie przez Wodza i Kanclerza Rzeszy przedstawicieli polskiej mniejszości w Rzeszy, nie opiera się na żadnych szczególnych niemieckich zobowiązaniach międzynarodowych w dziedzinie ochrony mniejszości. Z drugiej strony Polska, chociaż w 1934 r. uwolniła się od zobowiązań mniejszościowych na forum międzynarodowym, w ostatnim swoim oświadczeniu wyraźnie określiła swoje stanowisko wobec zasad ochrony mniejszości. Przekonanie, że nowe oświadczenia niemiecko-polskie o ochronie i prawie do życia mniejszości idą po linii dobrze zrozumiałego interesu wzajemnego, zdaje się mieć swoje uzasadnienie nie tylko w samej doniosłości niemiecko-polskiego dzieła porozumienia, lecz przede wszystkim w szczerej woli pokoju obu narodów. Gotowość kroczenia niezmiennie po drodze porozumienia przy równoczesnych dobrych stosunkach sąsiedzkich znajduje również swój wyraz w decyzji odebrania sprawie Gdańska charakteru kwestii, zdolnej zakłócić te stosunki, *oraz w fakcie, że przeobrażenia, jakie miały miejsce w Gdańsku w ostatnich dwóch latach, nie stanowiły przeszkody w stosunkach wzajemnych między Niemcami a Polską*".

Ta ostatnia uwaga jest niezmiernie charakterystyczna i o wiele ważniejsza niż całość wywodów „D. D.-P. K.". Wskazuje, w jakim kierunku idą tendencje Rzeszy.

* * *

„Volkischer Beobachter" (z 7.XI) wychodzi w swym komentarzu do oświadczeń z założenia, że konstruktywnych i trwałych rozwiązań europejskich problemów politycznych, zwłaszcza na Wschodzie, można dokonać jedynie na tle większych historycznych kompleksów i form rozwojowych narodów. W stosunkach polsko-niemieckich — zdaniem pisma — trzeba przede wszystkim pamiętać o tym, że więzy, jakie łączyły oba narody — polski i niemiecki — nie mogą być zlikwidowane faktem pociągnięcia granic. Oświadczenia z 5.XI więzy te utrwalają, dając grupom narodowym oparcie dla ich możliwości rozwojowych. *Wartość i realność tych oświadczeń zależeć będzie jednak od nastawienia czynników administracyjnych, które będą je realizowały.*

„Od tej strony patrząc na sprawę,— kończy „V. B."—dochodzimy do przekonania, że obca narodowość we własnych granicach państwowych nie powinna być uważana za czynnik pasożytniczy, lecz za element owocnej współpracy przyjacielskiej. Szacunek dla tej narodowości nie jest równoznaczny z dobrowolnym osłabianiem własnej siły, jak twierdzą pewne koła polskie, lecz stanowi on cząstkę samej przez się zrozumiałej odpowiedzialności narodowej również i za przyszłość swego kraju. W ten sposób łączą się w nowych oświadczeniach polsko-niemieckich dwie sprawy: uznanie przeszłości oraz praca nad budowaniem przyszłości Europy wschodniej".

* * *

„Berliner Tageblatt" (z 6.XI) przypominając akcję kanclerza Hitlera w sprawie pacyfikacji stosunków niemiecko-polskich, wyraził przekonanie, że wprawdzie obustronne oświadczenia nie stanowią jeszcze formalnego dwustronnego zobowiązania, jednak stwarzają podstawy, na jakich obie strony przy dobrej woli muszą prowadzić dalszą pracę. Uznanie przez Polskę — pisze również „B. T." — sposobu traktowania mniejszości za istotny czynnik w dziedzinie normalizacji stosunków między państwami należy powitać z zadowoleniem. Wydaje się, że zrobiono tu początek na rzecz powstania nowego prawa mniejszościowego również i tam, gdzie spotkać się można z poglądem, że do spacyfikowania Europy dojdzie się łatwiej przez bezpośrednie układy między państwami, niż przez pakty zbiorowe. — Jednym słowem: antyligowa, niemiecka „ewige Melodie".

* * *

Nie tylko prasa niemiecka zareagowała na fakt podpisania polsko-niemieckich deklaracji mniejszościowych. Ze względu na ważne międzynarodowe znaczenie tego wydarzenia politycznego deklaracje i polsko - niemieckie problemy mniejszościowe stały się tematem artykułów, lub conajmniej obszernych komentarzy we wszystkich państwach europejskich. Półurzędowy dziennik paryski *Le Temps* (z 14.X) poddaje deklaracje analizie w artykule swojego korespondenta warszawskiego Rogera Koepplina. Stwierdza on przede wszystkim, że — za wyjątkiem Górnego Śląska — istniała już dawniej zasadnicza różnica w kwestiach ochrony mniejszości w Polsce i Niemczech. W Niemczech kwestia mniejszości nie stanowiła przedmiotu żadnej reglamentacji międzynarodowej. Polska wypowiedziała wprawdzie kilka lat temu traktaty mniejszościowe, ale — pisze Koepplin — nie tyle zawarte w nich zobowiązania ile obowiązek zdawania sprawozdania przed aeropagiem międzynarodowym ze swego postępowania w stosunku do mniejszości. Uwalniając się od ingerencji zewnętrznej w swoje sprawy wewnętrzne, dotrzymała naogół ciężkich zobowiązań, jakie wzięła na siebie w stosunku do swych mniejszości w Wersalu. J a k o d a l s z y c i ą g tej ewolucji stosunku Polski do jej mniejszości należy — zdaniem Koepplina — uznać ostatnie deklaracje. Następstwem ich jest, że w stosunki między każdym z dwóch państw, a odpowiednią mniejszością nie może się już mieszać żaden czynnik zewnętrzny. Koepplin robi tu niezupełnie ścisłe spostrzeżenie, że „jutro amb. Lipski nie będzie miał prawa interweniować na Wilhelmstrasse na rzecz mniejszości polskiej w Niemczech, a amb. Moltke na ulicy Wierzbowej na rzecz mniejszości niemieckiej w Polsce". Natomiast Koepplin całkiem słusznie zauważa iż deklaracje milczą całkowicie w sprawie p o l i t y c z n y c h praw Polaków w Niemczech. Przed 5 listopada Polacy w Niemczech nie byli obywatelami drugiego rzędu; niemniej ich rola polityczna w Niemczech hitlerowskich była równa zeru; taka też i pozostanie jutro. Nie jest to kwestia liczby i organizacji mniejszości polskiej, jest to kwestia reżimu. Z zagadnieniem reżimu hitlerowskiego łączy się również sceptycyzm co do praktycznej wartości zapewnień ze strony niemieckiej zawartych w deklaracji z 5 b. m. Jednak przyznać trzeba — mówi Koepplin — że wprowadzenie do deklaracji jakichś gwarancji i sankcyj musiałoby doprowadzić do powstania rodzaju państwa w państwie.

Uwagi te korespondenta Tempsa dowodzą, że prasa zagraniczna stara się wniknąć dokładnie w istotę i szczegóły polsko - niemieckiego zagadnienia mniejszościowego, rozumiejąc, że jest ono jednym z najważniejszych momentów polityki polsko-niemieckiej.

PRZEGLĄD PRASY

11 listopada

Fakt, że tegoroczne Święto Niepodległości stało pod znakiem armii i młodego pokolenia polskiego, przyczynił się w poważnym stopniu do skupienia uwagi ogółu społeczeństwa na zagadnieniu armii i młodzieży i do wysnucia z tego pozytywnych wniosków w odniesieniu do naszej rzeczywistości.

KURJER PORANNY (nr 313) zwrócił uwagę na to, że tegoroczne Święto Niepodległości, Święto, w którym obok armii kroczyła młodzież, stanowi nowy krok ku rozpowszechnieniu typu Polaka nowoczesnego.

„Zbratanie młodzieży z armią odpowiada nie tylko potrzebie serc tych pokoleń, które niewoli już nie zaznały, a coraz liczniej wstępują w życie, ale jest aktem, świadczącym o przełamywaniu się dawnych zgubnych nastrojów, o wygasaniu opętańczej tradycji niewoli.

Podstawowe zagadnienia związane z obroną państwa nie dzielą młodych pokoleń, mających budować nową Polskę, o nią walczyć, sięgając po laury zwycięstwa. Młodzież polska, zarówno miejska jak i wiejska, zarówno chłopska, jak i robotnicza, zamanifestuje, że żyje w niej dumna tradycja rycerska i że tą tradycją kierować się zamierza również w szarym życiu codziennym.

Dzisiejsze święto niepodległości nie będzie banalną uroczystością urzędową.

Na tle zamętu, jaki trwa w życiu politycznym, będzie dniem triumfu idei, rzuconych w społeczeństwie przez Naczelnego Wodza, a które znalazły oddźwięk tak oczywisty w świeżych, gorących i oddanych sercach młodzieży.

Będzie to zatem prawdziwe święto niepodległości. Zapowiedź lepszego jutra".

GONIEC WARSZAWSKI (nr 313) wysunął postulat, by zawarte w Święcie Niepodległości przymierze między armią a młodzieżą i nadal otaczane było żywym kultem:

„Kośćmi żołnierzy i młodzieży polskiej usiana jest ziemia polska, krew ich znaczy granice państwa polskiego, wyrąbane w ciężkich i krwawych bojach z wrogami. Spełnili obowiązek swego pokolenia, zapewniając następnym niepodległy byt. Jednocześnie w spadku po ich wiekopomnych czynach zostało hasło: armia z młodzieżą — młodzież z armią.

Żywotne to i twórcze hasło. Łączy ono armię, najpotężniejszy instrument obrony narodu i państwa, z przyszłością narodu: karne szeregi żołnierzy z najwrażliwszą na potrzeby Polski warstwą społeczeństwa.

Przymierze między armią a młodzieżą, podyktowane względami na obronę bytu narodu i państwa, wzmocniło w Polsce siłę obronną na wypadek ataku wrogów. Oznajmia całemu światu, że nie tylko armia, ale cały naród stanie w obronie swoich ziem i granic.

Przymierze między armią a młodzieżą należy pieczołowicie kultywować. Szczególnie dzisiaj, gdy na horyzoncie międzynarodowym gromadzą się wojenne chmury. Lada bowiem rok może przyjść chwila, gdy armia będzie musiała odwołać się do młodzieży a młode pokolenie ofiaruje armii swe siły, młodość i życie".

Podkreślając, że wszystkie tegoroczne manifestacje, zorganizowane przy udziale młodzieży, odbywały się pod hasłem wzmożenia obronności Państwa, ROBOTNIK (nr 338) stwierdził m. in. co następuje:

„Wczorajsza rewia i defilada z okazji święta Niepodległości tym się różniła od wszystkich przeglądów w poprzednich latach, iż nie był to tylko przegląd armii Czynnej, lecz raczej przegląd Przyszłej armii polskiej.

Wczorajsza rewia i defilada miały być świadectwem gotowości młodzieży do obrony granic Polski i Niepodległości Państwa Polskiego. Młodzież polska na ten apel ministra Spraw Wojskowych odpowiedziała stuprocentową gotowością.

Wczorajsza defilada wykazała raz jeszcze, iż podstawą armii są— chłop i robotnik".

Z innych głosów prasy zasługują jeszcze na uwagę wywody DEPESZY (nr 97), która uwagi swe zakończyła podkreśleniem potrzeby istnienia w narodzie odpowiedniego napięcia uczuć. Istnienie tego napięcia psychologicznego pozwoli na wydobycie z najgłębszych pokładów duszy polskiej wielkich ideałów polskich.

„Dopiero w 19 lat po dozyskaniu Niepodległości domyśliliśmy się, że zjednoczenie narodowe można zacząć także i od tego, by skupić uwagę społeczeństwa, a w szczególności młodzieży, na sprawie obrony kraju, a zatem na wojsku. Dopiero w 19 lat po odrodzeniu zaczynamy myśleć o konsolidacji narodowej. Ciągle jeszcze trwają dyskusje na temat, na czym ta konsolidacja ma polegać i do jakiego iść dalszego celu. A nawet o tym celu wogóle jeszcze mowy na szerokim forum nie ma. A kiedyż dojdziemy do tego, by dotrzeć do sedna rzeczy, by zajrzeć wgłąb własnej duszy zbiorowej i znaleźć tam owoc naszej starej kultury politycznej, tak wspaniale wypowiedzianej przez dziejopisów, wytłumaczonej przez filozofów, wyśpiewanej przez poetów. Kiedyż wystawimy na piedestał nasze doświadczone ideały wolności, dobra powszechnego, unii, rycerstwa, tolerancji sumienia i owego wielkiego umiaru, który nie tylko cnotą jest, ale całą zagadką piękna, a przede wszystkim rozumu.

Z takich ideałów można utkać sztandar narodowy.

Taki sztandar trzeba rozwinąć 11 listopada przed wojskiem, przed młodzieżą, przed całym narodem".

Polsko-niemiecka deklaracja mniejszościowa

Deklaracje polsko-niemieckie z dnia 5.XI w sprawie traktowania mniejszości spotkały się w Polsce z oceną bardzo różnorodną. Cechą wspólną ocen jest na ogół pozytywne stanowisko wobec meritum oświadczeń, obok wysuniętych równocześnie wątpliwości i zastrzeżeń co do możliwości praktycznej realizacji zasad deklaracyj.

GAZETA POLSKA (nr 308 z 6.XI) widzi w deklaracjach „czyn obopólnej dobrej woli".

„Od historycznej daty 26 stycznia 1934 roku — pisze Gazeta Polska — jest to — w zakresie stosunków polsko - niemieckich — czyn najdonioślejszy. Oświadczenie dzisiejsze nie tylko godzi się z duchem i literą układu berlińskiego, który rozpoczął „nowy okres" między dwoma państwami. Jest ono także ponownym stwierdzeniem, że nie ulegają zmianie przesłanki i postanowienia, które umożliwiły podpisanie Deklaracji z 26 stycznia; jest wymownym świadectwem, że oba rządy zdecydowanie kroczą dalej po drodze wiodącej od normalizacji do dobrego sąsiedztwa, od współżycia do rzetelnej lojalności".

Zwracając jeszcze uwagę na to, że oświadczenia stwarzają dla ludności polskiej w Niemczech sui generis podstawy prawne do rozwijania działalności we wszystkich dziedzinach życia, GAZETA POLSKA kończy jak następuje:

„Cieszyć się szczerze z ustalonych zasad, rozumiemy jednak, że wszystko zależy od ich wykonania. Trudności są oczywiste. Wynikają one zarówno z różnic ustrojowych pomiędzy obu państwami, jak i z różnic socjologicznych pomiędzy obiema mniejszościami. Tym większa jest konieczność wzajemnej fair play. Tym więcej cierpliwości i wyrozumiałości wykazywać muszą obie zainteresowane opinie publiczne. Jesteśmy więc przekonani, że pierwszym skutkiem dzisiejszego kroku obu rządów będzie — obok uzasadnionego zadowolenia — uspokojenie umysłów po obu stronach granicy".

KURJER WARSZAWSKI (nr 306 z 7.XI) wyraża przekonanie, że treść pozytywna deklaracji powinna zadowolić stronę polską. Pismo ma jednak poważne zastrzeżenia w odniesieniu do sprawy praktycznego wprowadzenia deklaracji w życie.

„Zachodzi tylko pytanie, w jakim stopniu wolno liczyć na to, że do wskazówek, udzielanych przez Berlin, zastosują się na przyszłość wiernie niższe instancje administracyjne i partyjne, mające zawsze wielki głos, gdy idzie o problemat wykonania. Dotychczas działo się jak wiadomo, w ten dziwny sposób, że o istnieniu wcale uroczystych oświadczeń berlińskich, potępiających w imię prawdziwego nacjonalizmu procesy wynaradawiania, nie chciała nic wiedzieć prowincja niemiecka, przy czym zdolności interpretacyjne pp. Brochtów, Wagnerów e tutti quanti okazywały się rozwinięte ponad miarę bizantyjską. Niepospolicie dziwiły nas i zastanawiały fakty podobnej niesubordynacji czy też podobnej dwoistości, zachodzące w państwie totalnym, posiadającym władzę skrajnie centralistyczną, budzącą posłuch i postrach powszechny, a przecież, w sprawach mniejszości polskiej, lekceważoną we Wrocławiu, Bytomiu, Opolu czy Olsztynie....."

KURIER POZNAŃSKI (nr 510 z 7.XI) podkreśla, że

„w deklaracjach Polska rzuca na szalę wartości bez żadnego porównania większe, aniżeli Niemcy.

Polacy w Niemczech, gospodarczo bardzo słabi, nie stanowią w rzeczywistości żadnego dla Rzeszy niebezpieczeństwa.

Natomiast po stronie polskiej Niemcy stanowią, szczególnie na ziemiach zachodnich, potęgę gospodarczą i przez posiadanie w tych ziemiach dużej części nieruchomości rolnych są stałym, żywym niebezpieczeństwem dla państwa polskiego."

Zwracając uwagę na poważną niewspółmierność tych walorów, przez obie strony rzuconych na szalę, pismo pisze:

„Dalej wchodzi w grę sposób, w jaki deklaracje przez władze administracyjne obu państw będą w praktyce interpretowane. Wiemy już, jaka po niemieckiej stronie nastąpiła praktyka po zawarciu „przyjaźni polsko - niemieckiej" w styczniu 1934. Przypominamy też przykładowo wydane kilka lat temu rozporządzenie pruskie o polskim szkolnictwie prywatnym, które w praktyce nie pohamowało zgoła niesłychanych szykan, stosowanych przez władze wobec szkół polskich.

To też z zimną rezerwą odczekamy praktyki władz niemieckich w przyszłości. Ta nasza rezerwa jest więcej niż uzasadniona".

Katowicka POLONIA (nr 4694 z 9.XI), podkreślając także nierówne szanse, z jakimi strony wchodzą w nowy etap życiowy, dochodzi w swoich ostatecznych konkluzjach do przekonania, że

„korzyści z deklaracji mniejszościowej, przyjmując nawet, że będzie ona z całą lojalnością wprowadzona w życie, przedstawiają się na razie dla Polaków pod znakiem zapytania, mniejszości niemieckiej zaś przynoszą już dziś realną korzyść, nie mówiąc o tym, że deklaracja ta stanie się też ważnym atutem w światowej propagandzie hitlerowskiej".

W Stronnictwie Narodowym po wyborach

Odbyte kilkanaście dni temu wybory nowych władz Stronnictwa Narodowego zostały ocenione w kołach, które do niedawna stały w bliższych związkach z endecją, jako dalszy etap staczania się Stronnictwa Narodowego ku dołowi. AKCJA NARODOWA (nr 4) określa wybory jako „symbol degradacji" i pisze o nowej sytuacji w stronnictwie, co następuje:

„To co pozostało czynne w Str. Narodowym i ten materiał ludzki, jakim mógł rozporządzać Dmowski — skupia i wyraża się w osobie nowego prezesa p. Kowalskiego z Łodzi. Cokolwiek by się dało powiedzieć w obronie najświeższego reprezentanta Str. Narodowego — nie da się zaprzeczyć, że jest to przede wszystkim najniższy gatunek demagoga i agitatora wiecowego, nie przedstawiającego absolutnie żadnej głębszej myśli politycznej... Bywały czasy w Str. Narodowym, że nawet małe komórki organizacyjne tej partii posiadały zdrową ambicję wysuwania na swoje czoło ludzi mających nie tyle dobre gardło i nienasyconą energię bojówkarzy, ale również trochę rozumu i koncepcji politycznej. A jeżeli już szło o najwyższe szczyty hierarchii partyjnej, to zawsze desygnowano tam asy, których zazdrościły Str. Narodowemu inne grupy. Mówiono nawet u przeciwników:

„endecja ma błędny program, ale ma najtęższych ludzi".

O p. Kowalskim nikt tego nie powie. Jest to złudzenie ze strony Str. Narodowego, że ratuje jego siłę człowiek, który najcelniej rzuca pulpitami na sali posiedzeń. Gdyby polityka na tym polegała, to prym w niej wodziliby najsprawniejsi mistrze lekkoatletyczni"

Gdańsk

Rozwój stosunków, jaki w ostatnim czasie obserwujemy na terenie W. Miasta, budzi słuszne zaniepokojenie w szerokich kołach społeczeństwa polskiego.

W związku z niedawnymi zarządzeniami gdańskimi w sprawie zakazu tworzenia partii czy upaństwowienia organizacji młodzieżowych POLONIA (nr 46698 z 13.XI) zwraca uwagę na to, że są to wszystko rzeczy, które nas muszą bardzo żywo obchodzić, gdyż nie są to wcale gdańskie sprawy wewnętrzne, obchodzące jedynie ludność gdańsko-niemiecką.

„Pogląd taki byłby nietylko nierozumny, ale także w najwyższej mierze szkodliwy i wręcz sprzeczny z dobrem Rzplitej, gdyż:

1. W ogóle wszelkie naruszanie stanu prawnego w. m. Gdańska obchodzi nas bardzo żywo, gdyż w ten sposób podrywa się podstawy prawne wszystkie, a więc i te, na których spoczywają prawa Polski w Gdańsku,

2. Wyraźne tu i już jawnie głoszone dążenie do zrównania stanu rzeczy w Gdańsku ze stanem rzeczy w Rzeszy Niemieckiej jest w ogóle najgorszym objawem, jaki tam może istnieć, gdyż w ten sposób zrywa się łączność Gdańska z Polską, ustaloną prawnie i bardzo rozległe w Traktacie Wersalskim, a toruje się drogę przymknięciu Gdańska do Rzeszy Niemieckiej."

Pismo uważa więc, że jest czas najwyższy na

„działanie najbardziej stanowcze Polski w ochronie stanu prawnego w w. m. Gdańsku."

ROBOTNIK (nr 340 z 14.XI) domaga się również energicznych posunięć ze strony polskiej, by w Gdańsku ratować to, co się jeszcze da uratować.

„Nawet dziś — pisze on — nie uważamy, że wszystko jest stracone. Energiczna postawa Ligi Narodów, której członkiem jest także Rzeczpospolita Polska, mogłaby jeszcze dziś powstrzymać rozwój wypadków w Gdańsku, gdyby po temu znalazła się wola. W sprawie gdańskiej nie ma różnicy zdań w społeczeństwie polskim.

Każdy energiczny krok dla zapewnienia Polsce jej praw znajdzie najżywszy oddźwięk w Polsce. A Polska broni tu słusznej sprawy, mianowicie prawa.

Dwa warianty jednej gry

Mamy jeszcze w świeżej pamięci wielką akcję prasową młodo - endeckich czy endekizujących kół prasowych („Goniec Warszawski", „ABC", „Jutro Pracy") przeciwko oddaniu pabianickich Zakładów Kindlerowskich, należących częściowo do B. G. K., w ręce grupy żydowskich kapitalistów Eitingonów. Ostatecznie zakłady przeszły w inne ręce. Ale w czyje?

Posłuchajmy co mówi EPOKA (nr. 21 z dnia 5.11.):

„Zakłady Kindlera nabył chrześcijanin — głosi radośnie „ABC". Zwróćcie uwagę: nie pisze — Polak. Bo ten nowonabywca to S. A. Karola Eiserta. Nie łatwo tak odrazu zaawansować go na Polaka. Dopiero w tekście znajdziemy uwagę: „P. Karol Eisert pochodzi z niemieckiej rodziny, spolszczonej dziś zupełnie." Spolszczonej? Trudno orientować się w przynależno-

ści narodowej fabrykantów łódzkich. Jest to zresztą dla nas obojętne. Ważniejsze jest to, że Spółka Akcyjna Karol Eisert, to bynajmniej nie tylko sam Eisert. To zjednoczone rody Eisertów, Kindermannów, Kraningów i Milkerów, władające lub spółwładające siedmioma wielkimi spółkami akcyjnymi w przemyśle włókienniczym (łączny kapitał akcyjny 36 mil. 900 tys. zł.), ponadto zaś wielką fabryką metalową J. John w Łodzi i wielką zatrudniającą 700 robotników bekoniarnią w Gnieźnie. Potworek kapitalistyczny, mówiąc językiem „ABC", zupełnie niegorszy, w niczym nie ustępujący posiadłościom w Polsce szlachetnego rodu Ettingonów. Przynależność narodowa zjednoczonych rodów Kindemannów, Eisertów i t. d. do się również o wiele łatwiej stwierdzić, niż indywidualna przynależność narodowa Karola Eiserta. Każdy w Łodzi wie, że te rodziny to nie byli Niemcy, a aktualni, konkretniej jeszcze niemieccy hitlerowcy. Jeden z tych rodów, Milkerowie, to nawet współwłaściciel zplajchszaltowanego organu niemieckiego „Neue Lodzer Zeitung" w Łodzi (porównaj „Rocznik Polskiego Przemysłu, Handlu i Finansów" za r. 1937, poz. 9713)."

Rezultat gry jest — jak z powyższego widać — niezwykle interesujący: oto Zakłady Kindlerowskie objął coprawda nie żyd, ale — spółka niemiecka! Udało się naszym „narodowcom", prawda?

Fikcje jako broń polityczna

Korfantowska POLONIA (nr 4699 z 14.XI) z oburzeniem piętnuje rozpanoszenie się w naszym życiu politycznym fikcji, którą takie czy inne czynniki operują w życiu codziennym.

„Patrząc dziś wokół siebie — pisze „Polonia" — chciałoby się powiedzieć, że nigdy w dziejach ludzkości fikcje nie odgrywały tak wielkiej roli, jak w czasach dzisiejszych. Zarówno w polityce wewnętrznej narodów, jak w polityce międzypaństwowej fikcje stanowią dziś ważną, a kto wie, czy nie najważniejszą broń. A dziś nie chodzi, jak w wiekach ubiegłych, o urojenia, w które się subiektywnie wierzyło, lecz o zręczne wymysły, obliczone na ludzką wrażliwość, głupotę i tchórzliwość.... Wywiesiwszy sztandar tych fikcji, łatwo jest gromadzić w jego cieniu nie tylko prostaków o umysłach pierwotnych, bezmyślnych poczciwców, ale także cyników, którzy w duszy się z niego śmieją, tchórzów, drżących wiecznie o swoje mienie i stanowisko socjalne, awanturników, którzy nie mają nic do stracenia i gangsterów wszelkiego rodzaju, którzy w chaosie pragną się obłowić i zająć w społeczeństwie stanowiska, o których w czasach normalnych nie śmieliby marzyć!

Po tym oryginalnym, jak na „Polonię", wstępie, pismo przystępuje do omawiania roli fikcji w Polsce dzisiejszej, pisząc m. in. co następuje:

„Obowiązkiem jest walka z niebezpieczeństwem komunistycznym, obowiązkiem jest walka z masonerią i tajnymi organizacjami w ogóle, obowiązkiem jest walka z nadmiernymi wpływami żydowskimi. Ale co kryje się poza hasłami antykomunistycznymi, antymasońskimi i antyżydowskimi różnych Oenerów i Stronnictwa Narodowego? Odruchy niezadowolenia mas ludowych z socjalnych i politycznych stosunków, dążenie do poprawy bytu i odzyskania praw obywatelskich, walkę o ustrój demokratyczny państwa — wyżej wspomniane partie piętnują jako objawy działalności „żydokomuny" i masonerii. Poza tą fikcją partii zowiących się narodowymi, kryje się dążenie urządzenia Polski na wzór hitlerowski lub faszystowski."

„Polonia" konkluduje ostatecznie:

„Przykładów fikcji w naszym życiu zbiorowym moglibyśmy naliczyć jeszcze wiele. Fikcje te są kłamstwem. Kłamstwo jest objawem słabości i było zawsze bronią słabeuszów, chociażby udawali bohaterów bez bojaźni, nie cofających się przed niczym. Wiadomo, że tchórzostwo zawsze chodzi pod ramię z okrucieństwem.

Szkoda, że „Polonia" wystąpiła do walki z fikcjami w naszym życiu dopiero teraz, gdy sama jest zmuszona odpierać ataki kierowane przeciwko niej. Ale — jak to się mówi — lepiej robić to późno, niż wcale.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Walerian Sobkowiak, Józef Chociszewski (1837 — 1914), Gniezno 1937 („Życiorysy zasłużonych Polaków XVIII i XIX w.).

Pośród innych jubileuszów, w tym roku upływa setna rocznica urodzin Józefa Chociszewskiego (1837—1914). Dzisiejszemu pokoleniu imię to nie wiele mówi. Za to nazwisko jego spotkać można nie byle gdzie, bo w „Pamiętnikach Chłopów". W II tomie tych pamiętników opowiada jeden z autorów o literaturze ludowej w Poznańskim w latach osiemdziesiątych: „Żył wtenczas w Poznaniu najpopularniejszy pisarz ludowy Józef Chociszewski, który ukochał całym sercem lud polski. Napisał on książek i książeczek bez liku. Lud polski czytał chętnie jego wydania, kupując utwory Chociszewskiego, bo były bardzo tanie". (t. II, str. 4). Kim był Józef Chociszewski, przedstawił nam młody poznański uczony W. Sobkowiak w świeżo wydanej pracy „Józef Chociszewski", wydanej w serii „Życiorysy zasłużonych Polaków XVIII i XIX w".

Urodzony w 1837 r. w Chełście (pow. Czarnkowskim) z ubogich rodziców, Józef Chociszewski już we wczesnej młodości, na ławie gimnazjalnej, rozpoczyna swą działalność społeczną od zakładania kółek i organizacji szkolnych ideowo-samokształceniowych. W r. 1859 spotykamy już go w pierwszym zespole redakcyjnym założonego wówczas „Dziennika Poznańskiego", a jego artykuły pojawiają się w „Nadwiślaninie" w Chełmnie. Rychło nawiązuje korespondencję ze Stalmachem i w 1861 jedzie do Cieszyna, aby objąć stanowisko współredaktora „Gwiazdki Cieszyńskiej". Chociszewski wpada w wir gorącego wtedy życia narodowego w tej dzielnicy. Rychło władze austriackie wydalają Chociszewskiego jako niebezpiecznego agitatora, atoli przed powrotem w Poznańskie Chociszewski ma czas nawiązać na Śląsku kontakt z Miarką, który wtedy był w okresie uświadamiania sobie swej polskości. Po powrocie z Cieszyna (1862) obejmuje redakcję „Nadwiślanina" w Chełmnie i dodatku do tego pisma „Przyjaciela Ludu", narażając się rychło policji pruskiej. W okresie powstania styczniowego skazany na 2 lata więzienia, za jakiś „antypaństwowy" artykuł, Chociszewski zużywa czas przebyty w więzieniu na przygotowanie szeregu prac i na układanie projektów prasowo - wydawniczych.

Po wyjściu z więzienia z niezmożoną energią zakłada Chociszewski to pisma gospodarcze („Piast"), to pisma dla dzieci, to kalendarze popularne, pisuje do „Nadwiślanina" i „Przyjaciela Ludu", tworzy pismo „Katolik", które odstępuje rychło Miarce (który uczynił zeń znane pismo śląskie) wreszcie zakłada w r. 1869 księgarnię w Poznaniu, w celu szerzenia literatury popularnej.

Jest to najowocniejszy okres w życiu Chociszewskiego. Z jego księgarenki idą w świat śpiewniki, historie Polski popularne i ilustrowane, broszurki popularne. Chociszewski koresponduje i z Kraszewskim, Walerym Eljaszem (który robi mu ilustracje), zakłada coraz to nowe pisma („Dzwon Wielkopolski", „Lech"), działa na polu organizacyjno - społecznym, kładzie podwaliny pod ruch abstynencki, tworzy Kasy Wzajemnej Pomocy dla rzemieślników. Nie zraża się żadnymi przeciwnościami, wciąż pełen inicjatywy i zapału. Sypią się na niego to grzywny pieniężne, to procesy prasowe, co nadwyręża jego zdrowie i przyprawia go o trudności finansowe. W r. 1893 staje na czele świeżo wtedy założonego w Inowrocławiu „Dziennika Kujawskiego" a w 1895 przenosi się do nowego pisma „Gazety Gnieźnieńskiej". Znów nowe procesy, areszty, więzienia, grzywny". Do późnego wieku nieustaje w pracy publicystycznej i wydawniczej. Umiera w ciężkich warunkach, prawie zapomniany, w zgiełku na początku wojny światowej.

Postać Józefa Chociszewskiego, nie daje się ocenić na podstawie wartości jego prac czy dziełek. Nie przedstawiają one dziś większej wartości ani pod względem naukowym ani literackim. Zasługą wszakże Chociszewskiego było popularyzowanie literatury i dziejów polskich, czego dokonał w stopniu zadziwiającym, tak dzięki przystępności i popularności swego języka, jak dzięki technice masowych, tanich popularnych wydawnictw. Niezmordowana natura Chociszewskiego pchała go do coraz to nowych pomysłów. Nie przynosiły one autorowi żadnego zysku, a nawet przeciwnie — jak to wspomnieliśmy — przyprawiły go o ruinę finansową, co daje postaci Chociszewskiego tym piękniejsze świadectwo bezinteresowności i ofiarności.

Wysiłek Chociszewskiego nie poszedł na marne. Tak jak organizacja gospodarcza w zaborze pruskim była dziełem wielu niezmordowanych acz mało znanych pracowników, tak i stan oświaty ludności polskiej był owocem wytężonej pracy działaczy poznańskich i pomorskich, wśród których postać Józefa Chociszewskiego zaszczytne zajmuje miejsce.

Książka p. Sobkowiaka, pisana zajmująco i przystępnie, daje nam i tło działalności Chociszewskiego, na terenach pracy w Poznańskim, na Pomorzu czy w Cieszynie, działalności wyjątkowo wytężonej i płodnej. Spis jego prac umieszczony na końcu książki p. Sobkowiaka uzmysławia nam cały ogrom wysiłku, który ten jeden człowiek wykonał przez przeciąg swojego życia. Był jednym z tych, co cicho i niezmordowanie budowali wielkość swego narodu.

J. R.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Korewo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.